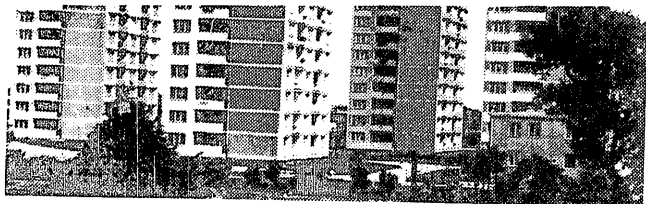


ŻYCIE GOSPODARCZE

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

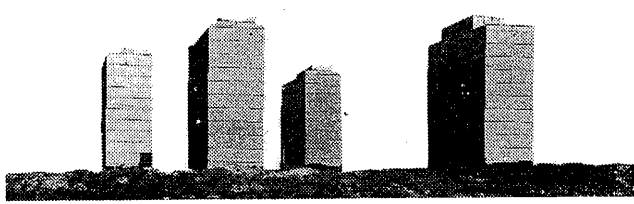
CENA 4 ZŁ



WIĘCEJ NIŻ DACH NAD GŁOWĄ

JERZY DZIECIOŁOWSKI

str. 1



LOS ZAOPATRZENIOWCA MOJE TRZYDZIESTOLECIE — WSPOMNIENIA EKONOMISTY

str. 3

W jednostkach inicjujących można wprowadzić dwa, a nawet i cztery parametry, tylko po co?

TADEUSZ SAWCZUK
str. 11

Instytut Przemysłu Mięsarskiego mieści się w centrum Warszawy, chociaż jest tu tylko sześć krów.

TADEUSZ PODWYSOCKI
str. 10

PRALNICTWO TO NIE RADION, KTÓRY SAM PIERZE

ANDRZEJ
NAŁĘCZ-JAWECKI
str. 9

KONIEC SUCHYCH LAT

ZBIGNIEW WYCZESANY
str. 7



PRZYDAŁYBY SIĘ AUTOBUSY Z GUMY

ZYGMUNT ZELWAN
str. 5

BIĆ CZY CHWALIĆ AJENTA

MARIAN SIKORA

str. 1

Funkcjonowanie
administracji
i gospodarki terenowej
na Węgrzech

ERNEST SKALSKI str. 12

FIŃSKA NEUTRALNOŚĆ NIE OZNACZA BIERNOŚCI

ANDRZEJ LUBOWSKI
WIESŁAW
SZYNDLER-GŁOWACKI
str. 12 i 13

CZAS MIESZKANIA

JERZY DZIECIOŁOWSKI

MIESZKANIE — obok wyżywienia — to druga podstawowa sfera potrzeb bytowych, nie tylko zresztą materialnych. W Polsce nie ma ludzi, którzy nie mają dachu nad głową. Dlatego właśnie uważam, że to co dotychczas zostało osiągnięte w naszym budownictwie mieszkaniowym, ów dach nad głową, to nie jest mało. Stworzenie tej mieszkaniowej podstawy jest jednak już faktem dokonanym. Co więcej, jest to fakt istniejący od 10—15 lat. W tym czasie nie dokonano się zasadnicza zmiana w sytuacji mieszkaniowej, jeśli nie brać pod uwagę względnego zmniejszenia się rozmiarów budownictwa mieszkaniowego i pogarszania jego standardu w miarę zbliżania się do 1970 roku oraz podjętych w ostatnich latach prób odejścia od tych tendencji. Generalnie biorąc praktyka budownictwa mieszkaniowego ostatnich 10—15 lat jest niczym innym, jak utrzymywaniem sytuacji dachu nad głową.

Nie ma, jak sądzę, potrzeby szerzej uzasadniać tego stwierdzenia: ponad milion oczekujących na samodzielne mieszkanie (liczba ta stale rośnie), wydłużający się do bardzo wysokiej granicy ponad 10 lat okres oczekiwania na kucze, gwałtowna potrzeba odnowienia substancji mieszkaniowej wielu miast — te fakty są powszechnie znane.

Ranga społeczna tego zagadnienia sprawiła, że znalazło się ono w centrum uwagi VI Zjazdu i w konsekwencji w 1972 roku na V Plenum uchwalony i zatwierdzony został kompleksowy program mieszkaniowy.

Od tego czasu upłynęło ponad dwa lata, w których między innymi stworzone miały być warunki wydawnictwa zwiększenia rozmiarów budownictwa mieszkaniowego w okresie 1976—1980. W tym czasie kwestia mieszkaniowa nie straciła nic ze swej aktualności. Wynika to z jednej strony z uwydatnienia się charakteru potrzeb społecznych (większe rozmiary mieszkaniowe, lepsza jego jakość), z drugiej strony z rozwoju potencjału wytwórczego kraju. Biorąc pod uwagę te fakty, w ostatnich miesiącach podjęte zostały badania możliwości przyspieszenia budownictwa mieszkaniowego tak, by, mówiąc najkrócej, w roku 1980 osiągnąć sytuację, żeby mieszkanie

można było otrzymać po krótszym okresie oczekiwania.

Jest to idea godna wszechstronnego poparcia, ale oczywiście sama idea nie wystarczy. Znajdujemy się u progu kolejnego pięcioletniego okresu gospodarczego. W nadchodzących miesiącach dokonano się podział środków pomiędzy poszczególne działy gospodarki. Ten fakt w decydującym stopniu przesądzi o charakterze rozwoju kraju w najbliższych (i nie tylko najbliższych) latach.

Spróbujmy rozważyć co daje nam szeroko pojęty program mieszkaniowy ze społecznego, ekonomicznego i politycznego punktu widzenia.

SENS SPOŁECZNY

Wielokrotnie w publicystyce poświęconej tej sferze potrzeb społecznych wysuwany był argument, że tym co wyróżnia program budownictwa mieszkaniowego spośród innych celów jest fakt, że ma on pełną akceptację społeczną. Zasadność tego sądu jest dziś równie aktualna, jak była trzy, pięć, czy dziesięć lat temu. O ile jednak dla uzasadnienia tej opinii posługiwano się przed laty, poza nielicznymi wyjątkami, faktami natury materialnej, przez zestawianie potrzeb z istniejącym stanem rzeczy, czy przez porównywanie sytuacji mieszkaniowej u nas i gdzie indziej, o tyle obecnie w równym, jeśli nie większym stopniu, zaczynają ważyć wartości, których nie da się dotknąć czy policzyć.

Po zaspokojeniu codziennych potrzeb mieszkanie jest pierwszym bezwzględnie dobrem materialnym, które może i powinna dostarczyć produkcja. Mieszkanie zaopatrzone w niezbędne urządzenia i przedmioty, stanowi powinno być przestrzeń życia, gdzie kształtuje i rozwija się życie indywidualne, rodzinne i towarzyskie. Mieszkanie jest tym miejscem, do którego przychodzimy by odpocząć, gdzie uczymy się, spotykamy z przyjaciółmi, gdzie spędzamy czas. Ludzie chcą po prostu dobrych mieszkań — mówili na ten temat na V Plenum Edward Gierek. Jest to zrozumiałe, jeśli uświadomić sobie, że obecnie budowane mie-

szkania służą będą nie tylko nam i naszym dzieciom, ale także wnukom...

Bogactwo funkcji, które w sferze materialnych i pozamaterialnych wartości skupia w sobie mieszkanie, stwarza nieporównywalne z jakimikolwiek innymi możliwości kształtowania oblicza społeczeństwa. Wielkość rodziny, jej trwałość, jakość wypoczynku, stan zdrowia społeczeństwa, walory moralne, kultura osobista ludzi — to wszystko w sposób ścisły wiąże się z tym, w jakich warunkach ludzie mieszkają, jakie otaczają ich przedmioty, czy w swoim najbliższym otoczeniu znajdują podjęty do kształcenia swoich cech charakteru i umysłowości. Poprzez standard i rozmiary mieszkania, piękno przedmiotów, które służą jego wyposażeniu i są do nabywania, rozwiązania architektoniczne i urbanistyczne cieszące oko, dogodność komunikacji, sprawność usług, można wpływać na wszystkie te elementy składające się na obraz społeczeństwa w sposób najbardziej skuteczny — to znaczy zgodnie z życzeniami samych obywateli tego kraju.

W ostatnich czterech latach miało miejsce szybsze niż kiedykolwiek (biorąc pod uwagę skalę działań) pomnożenie majątku narodowego. Niemalże wszystkie bariery, które zdawały się być nie do pokonania. Naturalnym następstwem tego stanu rzeczy jest wzrost aspiracji społecznych. Czynniki nieustannie wysiłki, aby sprostać tym nowo tworzącym się potrzebom i pragnieniom społeczeństwa. Podstawowym środkiem służącym spełnianiu tych potrzeb jest rozwój wytwórczości, stąd też rosnąca, jakość produkcji, to są te cele, wokół których mobilizuje się siły społeczne. Nierównie łatwiej byłoby mobilizować ludzkie umysły i ręce czyniąc jednocześnie zadość rozbudzonemu nadejściom co do warunków bytowych, gdyby jednym z podstawowych celów produkcji stała się realizacja programu mieszkaniowego w jego strategicznym ujęciu. Bo po prostu cel byłby bardziej namacalny i bardziej przez to zrozumiały.

RACJE EKONOMICZNE

Czas, kiedy budowanie mieszkań i związanej z nim infrastruktury traktowane było jako tak zwana działalność nieprodukcyjna, mamy już wprawdzie poza sobą, ale nie zmienia to faktu, że jest to jeden z najbardziej złożonych problemów polityki gospodarczej — nie tylko zresztą u nas. Wiąże się to ze znaczną kapitałochłonnością budownictwa mieszkaniowego i dość trudnymi do

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

PRAWDA I MITY O AJENCJI

MARIAN SIKORA

Szukając środków uzdrowienia naszej niedomagającej gastronomii, zdecydowano się 10 lat temu oddać część zakładów w ajencję. W założeniu miało to dotyczyć głównie placówek tzw. małej gastronomii — szaszłykarni, jadalni, zakładów sezonowych, obsługujących turystów i wczasowiczów. W praktyce przekazano w ajencję również część restauracji, i to nawet dużych, zwłaszcza nierentownych, lub osiągających znikome dochody.

WIELU konsumentów, szczególnie tych, którzy pamiętali stare czasy prywatnej gastronomii, wiązało z ajencją duże nadzieje. Spodziewano się, że ajenci, bardziej bezpośrednio niż personel uspołecznionych zakładów zainteresowani zyskiem, nie będą traktować gości jak uprzykrzonych natrętów, lecz zaczną o nich naprawdę zabiegać. Czy się te nadzieje spełniły, czy ajencja okazała się rzeczywiście skutecznym sposobem naprawy gastronomicznego gospodarstwa?

ZMIENNE KOLEJE LOSU

Doświadczenie dowodzi, że nie można odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie. Są zakłady ajencyjne dobre, średnie, złe i bardzo złe — zupełnie jak w przeważającej części uspołecznionej gastronomii. Być może, w pewnym stopniu zadecydowała o tym okoliczność, że ajencja w ciągu dziesięciu lat istnienia przechodziła różne koleje losów. Zmieniały zasady, na jakich gastronomiczne placówki uspołecznione oddawano ajentom, a także wysokość odpłatności za korzystanie z należących do przedsiębiorstw urządzeń i wyposażenia.

Zmieniała się też polityka finansowa prowadzona przez wydziały finansowe rad narodowych wobec ajentów. Czasami była ona zbyt liberalna, niekiedy znów rygory podatkowe stawały się wręcz drastyczne. Chwiejność tej polityki wynikała po części z doraźnych interesów władz terenowych, a gdzieś tam także z przekonania, iż ajencja jest drogą do reprivatyzacji gastronomii. Argument o niebezpieczeństwie reprivatyzacji gastronomii nie wytrzymał jednak krytyki. W zakładach ajencyjnych środki produkcji zostały przecież własnością przedsiębiorstw uspołecznionych, a to decyduje o społecznym charakterze każdej gałęzi gospodarki.

Obecnie mamy w kraju około 4 tys. ajencyjnych placówek gastronomicznych. Niemal połowę stanowią kawiarnie, cukiernie, bary kawowe i mleczne oraz bezalkoholowe bary samoobsługowe. W rękach ajentów znajdują się jadalnie, bufety, różnego rodzaju kioski gastronomiczne, szaszłykarnie i różna.

Ponadto prosperuje 550 ajencyjnych restauracji z wyszynkiem oraz około 300 bufetów w zakładach pracy i przedsiębiorstwach przemysłowych.

Ajencyjne placówki spółemowskie stanowią 30,4 proc. spółdzielczej sieci gastronomicznej.

W niektórych województwach zakłady ajencyjne są jednak bardzo liczącym się partnerem sieci gastronomicznej. Tak jest np. w woj. szczecińskim, gdzie oddano w ajencję ponad 50 proc. zakładów, w Warszawie — 45 proc., w Łodzi — 38 proc. Najmniejszą sieć ajencyjną ma gastronomia lubelska (14 proc.) i kielecka (17 proc.).

Szczytowy okres rozwoju ajencyjnych form gastronomicznych usług przypadł na rok 1971. Od tego czasu wzrost liczby placówek ajencyjnych nie tylko został zahamowany, ale nawet ich ubywa. Stąd i obroty punktów ajencyjnych w 1973 r. zmniejszyły się do 18,3 proc. obrotów uspołecznionej gastronomii, wobec około 20 proc. w 1972 r.

Należy dodać, że w ubiegłym roku — z powodu niewywiązywania się należycie z przyjętych na siebie obowiązków co do jakości potraw i kultury obsługi — przedsiębiorstwa gastronomiczne rozwiązały umowy z 400 ajentami. Proces pogarszania się ajencyjnych form usług gastronomicznych obserwuje się również w bieżącym roku.

Jak więc można w istocie ocenić ajencję i jaka przyszłość czeka tę formę usług?

Z PUNKTU WIDZENIA SPOŁECZNEGO...

O ajentach pisze się albo bardzo dobrze, albo bardzo źle, a rzadko obiektywnie. Przyczyną tych bardzo różnych ocen jest fakt, że sami ajenci są bardzo rozmaici:

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

CZAS MIESZKANIA

DOKONCZENIE ZE STR. 1

określenia (ale tylko w wąskim rachunkowym znaczeniu) efektami w stosunku do poniesionych nakładów. Nie są to jedynie nielatywne do rozwiązania sprawy. Szybko budować mieszkania — to znaczy ponosić wyższe koszty, bo nie da się budować szybko bez wind, dźwigów, samochodów, elektronarzędzi, a to kosztuje. Nie można nie brać również pod uwagę, że wraz ze zwiększaniem się zasobów mieszkaniowych rosnąć będą koszty ich utrzymania. Każdy z tych problemów ma swoje uwarunkowania i zależnie od tego, mniej lub więcej waży w bilansie ekonomicznym. Nie jest na przykład rzeczą obojętną, jaki jest udział środków własnych ludności w finansowaniu kosztów budownictwa mieszkaniowego, a w jakim stopniu partycypuje w tych kosztach skarb państwa itd. itp.

Nie umniejszając w niczym wielkości przeszkód, które przyjdzie pokonać w trakcie realizacji programu budownictwa mieszkaniowego, traktowanego jako cel strategiczny, należy wziąć pod uwagę, że rzeczywistość gospodarcza zdeterminowała niejako ten właśnie kierunek działania w dwóch zasadniczych dla sprawnego funkcjonowania gospodarki kwestiach, to jest jeśli chodzi o jej efektywność i zachowanie długotrwałej równowagi rynkowej.

W czym rzecz? Oto kilka typowych sytuacji, wziętych z życia, gdzie

związek między istnieniem mieszkań a efektywnością gospodarowania jest dobrze widoczny.

Był taki moment podczas budowy Portu Północnego, że wydawało się, iż nie zostanie uruchomiony w czasie, bo dla stu specjalistów, bez których wiedzy taśmociąg i dźwigi stanowią jedynie masę żelastwa pokrytego potem monterów, nie można było znaleźć w żaden sposób mieszkań. Czymże były środki na te mieszkania wobec miliardów włożonych w nowy polski port? A jednak to one wiązały ręce ekipom przystępującym do uruchomienia portu?

Do płockiej „Petrochemii” dowozi się ludzi z odległości 80 i więcej kilometrów. Obliczono, że niektórym pracownikom opłacałoby się kupić i podarować „Syrenki”, bo koszty ich dowozu są wyższe, niż wydatek związany z nabyciem dla nich samochodu.

W Zakładach Mechanicznych „Urus” stwierdzono znaczne nasilenie wypadków przy pracy między godziną 13.00—14.00. Kiedy bliżej zaczęto analizować przyczyny, okazało się, że ilość wypadków jest ściśle związana ze spóźnianiem się pociągów w okresie przejmowania pracy przez drugą zmianę. Jednocześnie analiza wyników produkcyjnych wykazała, że w dniach szczególnego „rozregulowania” się warszawskiej kolei podmiejskiej, liczba schodzących z taśm ciągników bywa o kilkadziesiąt sztuk mniejsza niż normalnie.

Takie, lub tym podobne sytuacje, są chlebem codziennym w większych przedsiębiorstwach i fabrykach kraju.

Przełom, jaki dokonał się w budownictwie przemysłowym w ostatnich latach i środki przeznaczone na inwestycje przemysłowe, w tym również w formie kredytów zagranicznych, pozwoliły na stworzenie potężnego, w całym tego słowa znaczeniu, potencjału wytwórczego. To, w jakim stopniu zostanie on wykorzystany jest zależne w znacznej mierze od mieszkań. Wiele funkcji mieszkania sprawiają, że mogą one wpłynąć na efektywność wykorzystania tego potencjału w sposób silniejszy, niż jakiegokolwiek inne czynniki.

Człowiek wypoczęty pracuje lepiej od zmęczonego. To jest truizm. Tymczasem setki tysięcy ludzi wyjeżdża z domów, w których obja się o innych członków rodziny i gdzie nie ma możliwości ani na chwilę wyizolować się z otoczenia. Potem godzinę, dwie, czasem dłużej trwa dojazd do pracy, jak szczęście dopisze w pozycji siedzącej, ale częściej w stojącej i to w tłoku przez cały czas podróży. W rezultacie, pracownicy ci, zanim jeszcze cokolwiek zrobili są już zmęczeni i mniej wydajni niż należałoby oczekiwać. Szukając źródeł zwiększenia wydajności trzeba przemnożyć liczbę niewyspanych, nie znajdujących niezbędnego odprężenia w domu ludzi, przez ilość godzin, w których pracują na zwolnionych obrotach, a okaże się, że jest to źródło rezerw wydajności nie mniej liczące się niż organizacja pracy i wysokość płac.

Siłą napędową ludzkiego działania jest stosunek do tego co się robi. Trudno wykręcać w sobie entuzjazm do wykonywanej pracy, a jest to podstawowy warunek wysokiej wydajności, jeśli przystępuje się do niej będąc poddawany stale tym samym stresom — popychanym, wyściganym w kolejkach, gonionym do przodu.

Okres ekstensywnych metod gospodarowania należy do przeszłości. Nie pozwala na to ani skala gospodarczych przedsięwzięć, ani osiągnięty poziom techniczny, ani pogłębione powiązania z rynkiem światowym, ale przede wszystkim kończą się możliwości zwiększania dochodu narodowego poprzez powiększanie zatrudnienia. Decydującymi czynnikami podnoszenia wytwórczości, przy dysponowaniu określonym stopniem uzbrojenia pracy, staną się wydajność i ciągłość pracy maszyn i urządzeń, zależna od ilości zmian. Bez odpowiednio rozwiniętej infrastruktury, z czołową w niej pozycją mieszkania, żaden z tych czynników nie będzie mógł być w pełni wykorzystany.

Dla wykorzystania majątku narodowego program mieszkaniowy jest ponad wszelką wątpliwość, działaniem komplementarnym.

Zastanówmy się z kolei, jaką rolę mógłby odegrać program mieszkaniowy w kształtowaniu równowagi rynkowej. Teza, że budownictwo mieszkaniowe skojarzone z szeroko pojętym przemysłem mieszkaniowym i usługami mogłoby się stać czynnikiem trwałej (i długotrwałej) równowagi rynkowej, nie jest nowa. Co istotniejsze, jej zasadność nie została podważona, przeciwnie, praktyka tak zamożnych krajów, jak Szwecja czy Stany Zjednoczone, potwierdziła jej słuszność. Istnieje zgodność co do tego, że dobro jakim jest mieszkanie, tym różni się od innych dóbr nabywanych za pieniądze, że wiąże środki pieniężne ludności raz bezpośrednio — w chwili zakupu mieszkania, ponownie w okresie jego wyposażania, wreszcie poprzez nakłady na odnowienie lub wymianę nabytych artykułów trwałego użytku. Wyobrażenie o rozmiarach tych środków, które byłyby wydane, co bardzo istotne, zgodnie z życzeniem konsumentów (ale i w myśl założonej polityki gospodarczej), może dać choćby taki, uproszczony rachunek. Zakładając, że w ciągu pięciu lat

wybudujemy np. 2 mln mieszkań, i licząc, że średni wkład na mieszkanie wynoszący 150 tys. zł. otrzymujemy sumę wydaną przez ludność, tylko z tytułu częściowego wejścia w posiadanie mieszkania (jako, że wkład, to spłnienie połowy czy powiedzmy 40 proc. całkowitych kosztów mieszkania) około 300 mld zł.

Nie ma, w każdym razie do tej pory, takiej drugiej sfery działalności gospodarczej, która dawałaby szansę stworzenia stabilizacji równowagi rynkowej i na który to cel ludzie płąciliby z góry.

Czy to nam się podoba czy nie, w hierarchii potrzeb mieszkanie stoi przed innymi dobrami konsumpcyjnymi trwałego użytku i jeśli tylko znajdować się będzie w tak zwanym wymiernym zasięgu (z punktu widzenia czasu otrzymania, dochodów itp.) stanie się celem, dla którego będzie się pracować i odkładać pieniądze. W efekcie program mieszkaniowy może posłużyć nie tylko umacnianiu stabilizacji gospodarczej, ale stać się siłą napędową intensyfikacji ludzkich działań.

Są i inne racje ekonomiczne przemawiające za programem mieszkaniowym, jak niska importochłonność budownictwa mieszkaniowego, pełny asortyment niezbędnych surowców w kraju (poza wyrobami walcowanymi), powtarzalność technik i technologii budowania itd. Omówienie każdego z tych zagadnień, przekracza jednak ramy tego materiału. Do tych i szeregu innych tematów z zakresu przemysłu mieszkaniowego, związków budownictwa mieszkaniowego z zagospodarowaniem przestrzennym kraju, polityki rozdziału mieszkań, gospodarki zasobami mieszkaniowymi itd. itd. — powrócimy w odrębnych publikacjach.

NIKT NIE JEST PRZECIW...

Nie ma przeciwników programu mieszkaniowego. Każdy jest za mieszkaniami. /Potrzeby społeczne są

źródłem poczynań polityko-gospodarczych, ale same przez się nie zastąpią wykonawców programu mieszkaniowego. Ten program muszą zrealizować resorty, branże, instytucje, zobligowane do tego nie ogólnym hasłem, a poprzez ściśle wyznaczone zadania. Mamy w Polsce dostateczny potencjał wytwórczy (i dostatecznie dużo istnieje przesłanek), by celem strategicznym rozwoju gospodarczego kraju uczynić, obok wyżywienia ludności i upowszechnienia szkolnictwa średniego — właśnie program mieszkaniowy.

Jeśli pięciolecie 1976—1980 ma być, zgodnie z decyzjami podjętymi w 1972 roku, czasem mieszkań — już dziś resorty, branże, biura projektowe, instytucje, również pod ten cel muszą określać swoje programy: przemysł maszynowy — w zakresie maszyn budowlanych, elektronarzędzi, artykułów trwałego użytku (pralki, lodówki, telewizory); przemysł ciężki — z punktu widzenia zapewnienia dostaw instalacji, armatury, agregatów niezbędnych np. ciepłownictwu; przemysł meblowy, handel i usługi, komunikacja, szkolnictwo itd. Realizacja programu mieszkaniowego rozumiana w ten sposób wymaga powszechnego zaangażowania się społeczników, oraz działaczy gospodarczych wszystkich szczebli.

W rozwoju społeczno-gospodarczym kraju stawiamy sobie za cel stworzenie takich warunków, by każdy członek rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego mógł żyć pełnią życia. Bez mieszkań celu tego nie da się zrealizować. Dlatego właśnie program mieszkaniowy wykracza poza rachunek ekonomiczny i ma daleko szersze znaczenie niż zaspokojenie czysto bytowych potrzeb. Jest to warunek osiągnięcia zadowolenia społecznego i w tym sensie program ten jest także wielką sprawą polityczną.

JERZY DZIECIOŁOWSKI

PRAWDA I MITY O AJENCJI



Fot. S. ZUBCZEWSKI

DOKONCZENIE ZE STR. 1

jedni ciężko i uczciwie pracują, inni wyraźnie postanowili sobie w ciągu niedługiego okresu zostać „millionerami” i ci oszukują klientów i dewastują powierzone im urządzenia. Co roku przeprowadza się wnikliwą weryfikację agentów, a kwalifikacje każdego kandydata rozpatruje sztab ludzi. Niestety, i to gęste sito jest nieszczelne. Każdy sezon turystyczny dostarcza smutnych rozczarowań co do poziomu pracowników ajencyjnych lokali. Szczególnie bowiem w miejscowościach wczasowo-rekreacyjnych przedsiębiorstwa mają wiele kłopotów z agentami. Znaczna ich część to ludzie przypadkowi; ani umiejętności, ani zasady moralne nie predestynują ich do roli uzdrowicieli gastronomicznych.

Głośne przypadki nadużyć, czy skandalicznego potraktowania konsumentów mocno osłabiły nadzieje społeczne związane z tą formą usług i zraziły do niej część opinii publicznej. Coraz częściej słychać sądy, że jest to lepszy sposób na dorabianie się fortun przez cwaniaków, niż na poprawę sytuacji w gastronomii. Te sądy są z kolei zbyt pochopne i dla większości agentów — krzywdzące.

Ajent jest nie tylko kierownikiem zakładu, ale również zaopatrzeniowcem, kuchmistrem i kelnerem w jednej osobie. Wszystkiego musi dopatrzeć sam. Gotowanie, obsługiwanie konsumentów, zmywanie naczyń to wyłącznie jego kłopot. A pozyskanie pracowników do gastronomii, zwłaszcza na czas sezonu, jest przy ciągłym braku rąk do pracy niesłychanie trudne. Nie mniej trudne jest zaopatrywanie się w detalu w takie surowce i produkty, które przyciągałyby konsumenta. Tylko agent wie, jak się trzeba starać, aby jadłospis nie świecił brakami.

Równocześnie, choć status ajenta uprawnia do wielu świadczeń i form ubezpieczeniowych oraz opieki so-

cjalnej, różni się jednak dość zasadniczo od sytuacji pracownika zatrudnionego w gastronomicznym przedsiębiorstwie uspołecznionym. Sytuacja socjalna pracowników ajencji jest gorsza. W placówkach ajencyjnych nie tworzy się funduszu socjalnego, co oznacza np. że pracownicy tych lokali nie mogą korzystać z funduszu mieszkaniowego, z wczasów czy kolonii dla swoich dzieci.

Relatywnie wyższe zarobki agentów niż pracowników innych zakładów są uzasadnione: są to ludzie zajęci od świtu do nocy, nie licząc swego czasu pracy. Zresztą w twierdzeniach o „millionerskich” fortunach agentów jest wiele mitów. Bywa, że nieuczciwi, ci, którym przekazano zakłady przez pomyłkę czy niedopatrzenie, doszli do majątku, oszukując konsumentów i państwo, ale w ogromnej większości przypadków zarobki agentów pozostają w zgodnej proporcji do wkładu pracy i inicjatywy. Trzeba też pamiętać, że wiele lokali ajencyjnych jest prowadzonych „systemem rodzinnym”, co pościągają za sobą podział dochodu między wszystkich członków pracującej wspólnie rodziny.

Nierzadkie są też przypadki, że pracownicy placówek ajencyjnych nie zarabiają więcej, niż w pozostałej części gastronomii uspołecznionej.

... I EKONOMICZNEGO

Z ekonomicznego punktu widzenia zastosowanie ajencji w gastronomii okazało się zdecydowanie korzystne. Wszystkie ajencyjne placówki są wysoko dochodowe, w dodatku koszty produkcji w stosunku do obrotów kształtują się w nich znacznie niższe niż w pozostałych zakładach uspołecznionych. Obroty w placówkach ajencyjnych są przeciętnie o 40 proc. wyższe, mimo że ajentom oddano do eksploatacji przeważnie zakłady słabo rentowne, zaniedbane, niekorzystnie położone i przez lata traktowane jako z góry skazane na deficyt.

Bywa, że te wysokie obroty osiągnięte są kosztem konsumentów, którym serwuje się byle jak przyrządzone dania po wysokich cenach. Jest to możliwe zwłaszcza w okresach wakacyjnych w miejscowościach turystyczno-wypoczynkowych, kiedy brak dostatecznej liczby lokali stawia wczasowiczów w przymusowej sytuacji stołowania się gdzie to tylko jest możliwe. Zdarza się również, iż w pogoni za zyskiem ajenci niszczą powierzone im urządzenia, eksploatując je nadmiernie i niedbale.

Większość ajencyjnych zakładów osiąga jednak wysokie obroty dlatego, że potrafiła przyciągnąć i utrzymać klientów. Głównie bowiem dzięki inwencji niektórych agentów dowiedzieliśmy się, że nawet w skromnych lokalach można zaistotować niewielkim nakładem środków oryginalny wystrój i stworzyć miłą atmosferę, że można w kawiarniach podawać jedno, czy parę gorących dań. Dopiero za ich przykładem zaczęły wprowadzać te nowości zakłady uspołecznionej gastronomii.

W sumie zastosowanie ajencji, choć nie dokonało wymarzonego przez konsumentów zdecydowanego przewrotu w tej dziedzinie usług, odegrało jednak z pewnością pozytywną rolę, wprowadzając nieco ożywczych prądów na gastronomiczną mieliznę.

CO DALEJ?

Po zmianie — w styczniu ub. roku — systemu ekonomiczno-finansowego w gastronomii, który przyniósł przedsiębiorstwom większą samodzielność, łącząc jednocześnie poziom zarobków z gospodarnością zakładów i wydajnością pracy — zmniejszyło się ich zainteresowanie ajencyjnymi formami prowadzenia placówek gastronomicznych.

Pogłębiła te tendencje obecna reforma całej gastronomii. Daje ona bowiem wszystkim kierownikom uspołecznionych zakładów gastronomicznych większe uprawnienia niż dotychczas posiadał ajenci. W myśl nowych przepisów kierownik ustala receptury na potrawy, doбира personel, decyduje o premiach i nagrodach. Dotychczas przedsiębiorstwo rozliczało się z szefem kuchni, barmanami itp., co sprawiło, że w zakładzie było kilku gospodarzy. Obecnie funkcje te przejął całkowicie kierownik zakładu. Ma on też prawo dokonywać zakupów w detalu, przeprowadzać remonty do wartości 30 tys. złotych, nie ma więc przeszkód, by np. malować zakład w ciągu jednej nocy, nie przerywając działalności na dłuższy okres, jak to bywało dotychczas.

Ta nowa sytuacja — zrównanie agentów i kierowników innych uspołecznionych zakładów w swobodzie działania — skłania do zastanowienia się nad dalszymi losami ajencji. Gestorzy gastronomii zapewniają, że nie zamierzają rozwiązywać umów z agentami dobrze wywiązującymi się ze swych obowiązków, i że ci, którzy prowadzą swoje placówki do-

brze, dbają o interes konsumenta, nie dają się kusić zbyt łatwym zarobkiem — mogą nie mieć żadnych obaw o rozwiązanie z nimi umowy o pracę. Aby utrwalić w środowisku agentów poczucie stabilności i atmosferę zaufania, zawierając się będzie z nimi umowy 3-letnie.

Powstał jednakże pytanie, czy wobec zlikwidowania uprzywilejowanej w pewnej mierze pozycji agentów — będą nadal chętni do podejmowania tej roli i czy część pracujących obecnie na zasadach ajencyjnych nie zechce z tego zrezygnować? Na tę okoliczność przewiduje się, zwłaszcza w stosunku do agentów-fachowców, dawnych, wieloletnich pracowników gastronomii — możliwość powrotu na etat w przedsiębiorstwach gastronomicznych, w tym także na etat kierownika zakładu prowadzonego dotychczas w formie ajencyjnej.

Ale w nowej sytuacji odzywają też argumenty, że na zasadach ajencji, powinny być prowadzone tylko zakłady małe, sezonowe, w rejonach wczasowo-turystycznych, nie ma natomiast powodu utrzymywania w ajencji większych restauracji czynnych przez cały rok. Często przytacza się przykłady Węgier i Czechosłowacji, gdzie państwowa gastronomia pracuje znakomicie, bez uciekania się do ajencyjnych form. Otóż wydaje się, że na takie rozumowanie jest co najmniej za wcześnie. Przykłady węgierskiej i czechosłowackiej gastronomii są wprawdzie przekonujące, ale cóż z tego dla nas, skoro nasza nie chce, czy nie może iść w ich ślady.

Samo zaś wprowadzenie nowych zasad, dających dużą swobodę działania kierownikom lokali, nie uprawnia jeszcze do twierdzenia, że jest lepiej. Kiedy efekty zastosowania tych zasad będą wyraźnie i powszechnie widoczne, wtedy dopiero będzie można powiedzieć, że oddawanie i utrzymywanie w ajencji dużych lokali nie ma racji bytu. Na razie można natomiast stwierdzić, że powstały wreszcie prawidłowe, bo bardziej równoprawne warunki konkurencji między obu rodzajami placówek gastronomicznych. W dyskusjach — także publicznych — kierownicy nieajencyjnych lokali mówili nieraz: dajcie nam takie przepisy, jakie obowiązują agentów, a my też pokażemy, co potrafimy! Teraz mają warunki, by stanąć do równorzędnej konkurencji i spełnić te za-

MARIAN SIKORA

PODRÓŻ W TRÓJKĘ

JERZY KORDACKI

W FABRYCE sztucznego jedwabiu w Tomaszowie Mazowieckim, węgiel z wagonu kolejowego wyceniany był czepakiem, który przynosił go kilka lub kilkanaście metrów dalej i zrzucił na usypisko o nieutwardzonym podłożu. Niekiedy leżał tygodniami i miedziacami, innym razem taśmociąg przynosił go w tym samym dniu pod kocioł.

Te fizyczne czynności były zapisywane mechanicznie w kartotece: było tyle, przyszło tyle, zużyto tyle, powinno być tyle. Na tej podstawie składało się zamówienie na następną dostawę.

Wszystko, co chodzi parami, miewa okresy skłócenia ze sobą. Kiedyś taka rozbieżność wystąpiła między stanem fizycznym i kartotekowym węgla. Fabryczna waga wagonowa często była nieczym z powodu uszkodzenia, a gdy funkcjonowała ważyła niedokładnie, nie wychwytywała braków wynikłych z niedoładowania w kopalni lub ubytku wskutek rozsypania bądź kradzieży na kolei. Jeśli na taśmociąg wrzucano więcej węgla niż przewidywała norma, kartoteka tego nie odzwierciedlała. Węgiel leżący na powietrzu podlega samoutlenianiu, traci część wartości opałowej. Niedobory wagowe, samoutlenianie węgla, zużywanie go ponad normę — wszystko to kumulowało się latami. Kartoteka w coraz większym stopniu przestawała być wierne stanowi faktycznemu.

Któregoś mroźnego dnia lutowego, gdy z zapisów wynikało, że na składowisku powinno znajdować się prawie dwie setki ton węgla, czepak zaczął wrzucać na taśmociąg zamiast węgla mieszaninę ziemi z węglem. Palenisko zareagowało natychmiast, zaczęło przysasać.

Zawiadomiony o stanie rzeczy kierownik działu planowania stwierdza żalostny stan. Zamiast pokazać przyczynę węgla, która jest zapisana w kartotece, składowisko zaczyna lisyć ziemią. Resztki węgla, oszacowane pobieżnie, powinny starczyć na dziesięć godzin. Spodziewana dostawa węgla za tydzień. Interwencja telefoniczna jeśli w ogóle cokolwiek pomoże, ma sens wyłącznie u dostawcy — Kopalni.

Na razie poczyniono doraźne zabiegi. Pożyczano węgiel od wszystkich możliwych jednostek organizacyjnych z terenu Tomaszowa nie wyłączając szpitala, domu kultury i innych słabszych węglowych. Były to niekiedy śmieszne ilości: furka węgla ciągnięła przez jednego konia! — starczyła na jeden chwyt czepaka.

Rozmowa telefoniczna z zastępcą dyrektora kopalni potwierdziła obawy, jesteśmy jednym z wielu interesantów zgwałconych ostrymi mrozami.

WSPÓLTOWARZYSZE

Jako kierownik zaopatrzenia miałem od razu „Warszawę” pojechać do kopalni na Śląsk. W aucie zastałem nieoczekiwanego współpasażera — Szeffa Referatu Ochrony Przemysłu. Wyjaśnił swoją obecność w następujący sposób:

— Na razie jadę z wami do pomocy, może się przydam w kopalni, a może po drodze na kolei. Zadanie zadane: to doprowadzić węgiel przed wygaśnięciem kotłowni. Później porozmawiamy, dlaczego nie dopilnowaliśmy dostaw węgla normalnym trybem — dodał innym tonem.

Puściłem na razie tę groźną uwagę mimo uszu, chociaż wiedziałem, że takich słów na wiatr nie rzucą. Byłem zadowolony z tego, że mi pomógł, a okazji do okazania tej pomocy na pewno nie zabraknie. Zdawałem sobie sprawę z czekających trudności, tych dających się przewidzieć i tych przypadkowych.

— Czy nie można by zostawić tych paczek — zwróciłem się do kierowcy samochodu, wskazując na zawalone siedzenie.

— Jasiu je przyniósł — odpowiedział kierowca — Powiedział, że są tam różne rzeczy z próbnego warstwu: parę szalików, chustek na głowę — trochę lokciwoziny i jeszcze jakieś inne drobiazgi. Przygotowano je na podarki z okazji rocznicy wyzwolenia Tomaszowa, ale w związku z sytuacją w kotlewni zmieniło przeznaczenie. Kazał powrócić panu, że nie musi się pan z nich rozliczać, przydadzą się może jako dodatkowy argument dla ludzi, od których zależeć będzie dostarczenie na czas węgla — mrugnął znacząco okiem.

Lapówki. Urzędowe lapówki — pomyślałem sobie spoglądając na Szeffa. Ten jednak nic nie widział, nic nie słyszał.

Podróż trwała dwukrotnie dłużej niż trwać powinna. W samochodzie pojawiała się jedna usterka, po drugiej jakby kto zaklął.

— Tam nie może zgasnąć! Węgiel musi być na czas! — powtarzałem imperatyw, który od nadużywania zaczyna brzmieć jak refren.

— Marny z pana kierowca. Nie dba pan o te „Warszawy” — mówię po to, aby sobie trochę ulżyć.

— Nie gorszy niż z pana zaopatrzeniowiec — bierze Kazia w obronę Szeffa.

Mineła północ, kiedy zobaczyliśmy oświetloną wież kopalni. Jedynym pracownikiem, z którym można było

rozmawiać na interesujący nas temat był dyspozytor. Biuro było nieczynne. Dyspozytor stwierdził bezceremonialnie, że jest od spraw technicznych a nie handlowych.

Bezczynne czekanie pięć godzin na otwarcie biura zbytu nie wchodziło dla nas w rachubę. Zmarnowanie ich oznaczało kilkutygodniowy postój naszej fabryki.

— Dla kogo ładujecie ten pociąg? — zapytałem, wskazując na skład kilkunastowagonowy.

— Nie wiem — odpowiedział szczerze dyspozytor. Posłaliśmy zobaczyć. Do pierwszego wagonu przyłączona jest siatka z listem przewozowym. Przy pomocy światła z ręcznej latarki odczytujemy:

— Skierniewickie Zakłady...

— Sierniewice! Na naszej trasie. Odpada kłopot z koleją — myślę gorączkowo. Problem zacząłby się dopiero w Kolużkach, gdzie pociąg zamiast do Skierniewic trzeba by skierować do Słotwin i dalej do Tomaszowa. Jeśli nie cały pociąg to po kilka wagonów będzie się doczepiać do normalnych pociągów jadących do lub przez Tomaszów.

— Czy nie można by tego pociągu zamiast do Skierniewic skierować do Tomaszowa? — pytam dyspozytora.

— Nie wiem, to sprawy handlowe, ja się tym nie zajmuję, nie znam się na tym — powtarza uparcie dyspozytor.

— Czy ma pan adres albo telefon pracownika, który jest władny zrobić cokolwiek w zamian adresata tego pociągu? — pytam z nadzieją dyspozytora.

— Nie, nie mam.

— Panie, po co pan tu właściwie jest, skoro pan nic nie wie i nie może — wtrąca zirytowany Szeff.

— Niech pan zjedzie ze mną na dół tam zobaczy pan po co, to jestem — rzeczowo odpowiada nasza zawiadowca nadziewa.

— Z kim tu rozmawiać? — zastanawiam się głośno.

— Z obecnych poza dyspozytorem pozostał tylko portier. Chodźmy do niego — proponuje Szeff.

Zrelacjonowałem portierowi naszą trudną sytuację i pytam go o wyjście z niej.

— Panie, przecież ja nie od tych spraw — odpowiada rzeczowo portier.

Kiedy kończyłem referowanie sprawy, dostrzegłem pogardliwy wzrok Kazia opuszczającego portiera. Wrócił błyskawicznie, z dwiema paczkami z siedzenia. Warszawy.

Portier jakby okazał pewne zainteresowanie.

— Panie! — zwracam się do niego innym głosem — Mam tu dwie paczki z ładnymi rzeczami. Jedna dla tego pracownika, który przyjechał do wagonów listy przewozowej za to, że zmieni adresata w Skierniewicach na adresata w Tomaszowie, druga dla pana, za dostarczenie tu tego pracownika. Samochód do pana dyspozycji — dodałem.

— Nie potrzeba samochodu — przemówił dostojnie cerber. — Te kartki do wagonów przykręca Marianna, a ona mieszka niemal na przeciw. Mówiła, że będzie tu o drugiej, aby odprawić pociąg, na który panowie sobie ostrzą zęby.

Wszyscy spojrzeliśmy na zegarki. Na moim była dwie minuty po drugiej. W drzwiach stała Marianna.

KOMPETENTNA OSOBA

— Co tu tyle ludzi? — zdziwiła się.

— I to wszyscy do pani — objaśnił portier.

— Po mnie? wystraszyła się dziewczyna.

— Nie po panią, a do pani. Interesanci.

Utrwaliła mi się ta sceneria. Marianna na środku portierni, obok zielonego piecyka informujący ją portier, Szeff, który nic nie widział i nic nie słyszał wpatrzony w okno, Kazio gotowy w każdej chwili ze swoim sprytem i ja — najśmieszniejsza postać z dwiema paczkami, objaśniającą najpierw portiera, później Mariannę o groźnej sytuacji fabryki, w której pracuję.

Nie oczekiwałem po dziewczynie takiej szybkiej decyzji:

— Nie ma trudności. Skierniewice jeszcze nie alarmują. Jeśli będą się pieklić, to posłę im skład popołudniowy. Do Tomaszowa miałam posłać w sobotę, to dam wam dziś.

Była kompetentną osobą. Dysponowała pociągami jak bilonem w portmonetce. To, co mówiła, wydawało mi się nieprawdopodobne. Zupełnie niepolitycznie, wbrew własnemu interesowi, gromiony wzrokiem przez Kazia, informowałem ją o bezskutecznej interwencji telefonicznej u zastępcy dyrektora tej kopalni.

— Dyrektor za wysoko siedzi. Przecież on nie zna harmonogramu wysyłki — skwitowała krótko, nie próbując wygrać mojego gadulstwa.

Myslałem o magii paczek trzymany pod pachą.

— Kłopot tylko z tym — dodała po chwili — że muszę wystawić nowy list przewozowy, zamiast do Skierniewic do Tomaszowa. List musi być podpisany przez dyrektora, którego teraz nie ma na kopalni. Pociąg powinien odejść za piętnaście minut, po to przecież przyszedłem, aby go odprawić.

— Czy listu przewozowego nie może podpisać dyspozytor? — zapytałem.

— Nie wiem. Proszę porozmawiać z dyspozytorem, ja pójdę przygotować list.

— Szeffie, to robota dla pana — zwróciłem się do mego strażnika i pomocnika w jednej osobie.

— Niech mi pan nie dyktuje, co mam robić. Proszę dyspozytorowi zaproponować, jak odmówi, to wtedy z nim porozmawiam.

Jak było do przewidzenia, dyspozytor — asekurant — mnie odmówił. Ale rzeczywiście po chwili przyszedł Szeff z podpisanym listem i Marianną, która szybko przykręcała nową tabliczkę.

Ja w tym czasie dowiedziałem się już od maszynisty, że z powodu warunków atmosferycznych i zatorów na kolei pociąg będzie jechał do Kolużek dwa razy dłużej niż normalnie. Przekazałem tę wiadomość Szeffowi.

— Jedziemy pociągiem razem z węglem — zawyrokowałem. — Będziemy go przepychać przez śniegi i tiki.

Kiedy pociąg już szarpnął, podał Mariannie paczkę — pierwszą w życiu daną lapówkę — mówiąc:

— Za fatygę.

I wdrapałem się do budki z przodu wagonu węglowego. Nim się znalazłem w budce, przeleciała mi nad głową paczka. Marianna krzychała za odjeżdżającym pociągiem:

— Nie fatygowałam się, zrobiłam, co do mnie należało! Abyście zdążyli na czas!

Kazio, który miał polecenie towarzyszyć samochodowi możliwie najbliżej naszego pociągu — nie wiadomo, na co może się przydać — stał jeszcze na torowiskach. Patrzył na Mariannę z otwartymi ustami. Twarz jego wyrażała mieszaninę uczuć: niedowierzania, pogardy i zdziwienia.

KROK DO ŚMIERCI

Mróż wynosił 20 st. i to w szafce meteorologicznej. W nie osłoniętej budce wagonu węglowego pędzącego pociągu, było znacznie zimniej. Uświadomiłem sobie grożące niebezpieczeństwo — zamarną na śmierć. Od dwudziestu godzin nie miałem nic ciepłego w ustach, szalony mróz, zbyt lekkie ubranie i niemożliwość wykonywania rozgrzewających ruchów zaczęły wywoływać pierwsze oznaki powolnego zamarzania. Zdawałem sobie jeszcze sprawę, że jedynym sposobem wyrwania się z tego byłby ruch, jakikolwiek wysiłek fizyczny. Ale wyjście w skostniałej formie z budki na oblodzony pomost pędzącego pociągu groziło na tymczasowym wyprzedzieniu z niego. I kiedy wydawało mi się, że nie ma już dla mnie ratunku, pociąg gwałtownie szarpnął i zaczął hamować, aż wreszcie stanął. Nie myśląc o tym, że pociąg zaraz może ruszyć, jakby nie na swoich nogach i przy pomocy nie moich rąk zlałem z wagonu. Zaczęłem nacierać się śniegiem.

Zobaczyłem w przodzie pociągu Szeffa. Robił to samo, co ja. Też musiałmo mu dopieć, a właściwie domrozić, skoro ryzykował ucieczkę pociągu i pozostanie w polu. Szczęście jednak nam sprzyjało, rozgrzaliśmy się porządnie, a pociąg stał nadal. Zaczęłam nas niepokoić przedłużający się postój. Posłaliśmy do maszynisty zapytać o przyczynę.

— Nie mam wolnej drogi, zweeksłowałam nas na bocznice, będziemy przepuszczać wszystkich ważniejszych — objaśnił bez troski maszynista.

— Jak długo to może potrwać? — zapytałem.

— Może pięć minut, a może parę godzin — odparł filozoficznie. — Nie widzi pan, jak tory zawiało?

Ale Szeff już oddalał się, a po drodze krzyknął maszyniście:

— Jak będzie zielone światło, to niech pan podjedzie do budki droźnika i tam się zatrzyma. aby mnie zabrać.

— To nie dorożka — odpowiedział bardziej do siebie niż do Szeffa maszynista.

Upłynęło kilka minut od wejścia Szeffa do budki droźnika i zapaliło się zielone światło.

Dalsza podróż do Kolużek nie odbyła się w zawrotnym tempie, ale nie było też nadzwyczajnych trudności. Szeff nie interweniował ani razu więcej. Widocznie rozmowa telefo-



Fot. R. GODLEWSKI

niczna z budki droźnika była skuteczna.

Wsiadliśmy tym razem do jednej budki, tulił się do siebie. I naprawdę miałem trudności z zakwalifikowaniem go: przyświecał pomocnik czy strażnik-oskarżyciel.

NIEOCENIONY KAZIO

W Kolużkach przywitał nas Kazio. Miał niespodziankę dla każdego z nas — po gorącym serdelku zawiniętym higienicznie w całą gazetę, żeby nie ostygł. Miły chłopak. Minę miał jednak strapienia i przywitał nas pytaniem, powtarzającym w tej podróży kilkakrotnie:

— Czy tam jeszcze nie zgasło? — Pytanie to w ustach kierowcy fabrycznego samochodu, przebiecie się do żywego tym problemem — świadczyło o patriotyzmie zakładowym, o emocjonalnym zaangażowaniu się w pracę. Przy nienadużywaniu, racjonalnym posługiwaniu się tymi cechami można było dużo zrobić.

Pobięliśmy do zawiadowcy stacji, aby natychmiast skierował nasz pociąg do Słotwin. W jego pokoju był tłum interesantów, posród których Szeff rozpoznał kilku kolegów po fachu. Dzwoniły jednocześnie trzy telefony, których słuchawek nikt w ogóle nie podniósł. Sam zawiadowca wyglądał okropnie. Oczy miał przekrwione, ręce mu się trzęsły, mówił głosem płacząco-krzykliwym. W Kolużkach powstał ogromny korek, przetożenie jakiegokolwiek pociągu stało się niemożliwe. Katakizm na centralnym węzle kolejowym. Tam potrzebny był mózg cybernetyczny do rozkładowania sytuacji a nie człowiek, który się załamał pod naporem rzeczywistych trudności, nad którym stali dzierżyciele władzy niemalże z rewolwerem w ręku.

Zawiadowca nie spojrział nawet na legitymację, pokazywaną mu przez Szeffa. Wydawało mi się, że w ogóle nie rozumie, co do niego mówią. Jednak rozumiał, na wywody Szeffa odpowiedział lańdarnie:

— Wykluczone. Pociąg do Skierniewic nie skieruję w obecnej sytuacji do Tomaszowa.

Zrozumiałem beznadziejność sytuacji. Starałem się wynaleźć wyjście z niej. Zasiadła mi myśl, że trzeba z poczty kolejowej zatelefonować do oddalonego zaledwie o trzydzieści kilometrów Tomaszowa, sprawdzić fabryczne ciężarówki, które zabiorą awaryjną ilość węgla z pociągu załobkowanego w Kolużkach.

W dworcowym urzędzie pocztowym opadły mi jednak ręce. Tłum oczekujących na dostanie się do telefonu był tak wielki, że możliwość rozmowy stawała się nierealna. Nie widziałem wyjścia. Na dodatek czułem dużą gorączkę, byłem chory.

Wtedy to dopadł mnie Kazio, który odcinając mnie na bok mówił konfidencyjnie:

— Zalatwione. Za dwadzieścia minut odjedzie pociąg do Radomia, którego maszynista i kierownik za paczuszkę są w stanie niedostrzec dołączonych dwóch wagonów z węglem, które odczepi się w Tomaszowie. Maszynista z lokomotywy, jeżdżącej po tamtym torze zgodził się za paczuszkę — przetoczyć dwa wagony z węglem z naszego pociągu i dołączyć go do radomskiego. Nie każdy wie Mariannę — zakończył sentencjonalnie.

— Nieoceniony jest ten Kazio — pomyślałem sobie — co ja bym bez niego zrobił?

CZY NIE ZGASŁO?

W miarę zbliżania się do Tomaszowa, upatrywałem znajomego mi komina. Z mieszanym uczuciem jako patriota zakładowy i jak ofiara zapowiedzianego rozliczenia. Instynktownie czułem, że smuga dymu oznaczać będzie dla mnie jedyną uświadomienie sposobu prowadzenia kartoteki. Nie mogłem zresztą sobie wyobrazić komina bez dymu.

I wreszcie zobaczyłem dym, ale jak! tak bardzo ciemnego, prawie czarnego dymu, jeszcze nie widziałem. A więc nie zgasło pomyślałem tylko — nie ma, przecież dymu... bez ognia. Czy dym sprawił komu tyle radości, co mnie wówczas?

Kazio dzielnie spisywał się do końca. Zgodnie z moją prośbą, zawiadomil transport i zakładowa lokomotywa czekała pod parą na stacji kolejowej na dwa wagony węgla. Odczepienie ich od pociągu radomskiego i przyłączenie do lokalnej lokomotywy odbyło się błyskawicznie. Za chwilę do składowiska węglowego podjeżdżały dwa wagony węgla. Już z daleka widziałem jakieś niezwykłe płomienie w kotlewni.

Jeszcze wagon nie zdążył stanąć — a szczerki zgłodniałego czepaka zanurzyły się chciwie w czarną masę i niosły ją na transporter. Czepak szybko powrócił po nowy kęs. Jego wielki głód i łapczywość były widoczne.

Dużo ludzi wychodziło z kotlewni, w której normalnie pracuje kilka osób.

— Co to za ludzie? — spytałem palacza.

— Robotnicy, zgłaszający na palenisko z terenu całego zakładu wszystkie, co tylko dawalo się spalić pod kotłem. Przed chwilą spaliliśmy brudną odzież robotniczą zmagazynowaną w pralni, czekającą na pranie. Była dobrze naolowana, to i dobrze paliła się. Była ona ostatnią rzeczą, która nam przyszła do głowy, że nadaje się do spalania.

Były to więc ostatnie minuty płomienia pod kotłem.

Na fabrykę po raz pierwszy spojrziałem jak na wygłodniałego smoka, którego nigdy nie można nakarmić. Przypomniałem sobie tysiące artykułów, materiałów, części surowców, które sprowadza się każdego dnia, aby zwinąć produkt w postaci jedwabiu mógł opuścić mury fabryki, aby skomplikowane procesy technologiczne mogły przebiegać bez zakłóceń non-stop, osiem tysięcy siedemset godzin w ciągu roku. Rozpędzonych trybów nie można zatrzymać ani na godzinę.

Spojrzałem na pracę zaopatrzeniowca z innej strony. Do niedawna lubiłem to zajęcie. Obecnie z perspektywy ćwierćwiecza pracy ekonomicznej, oceniam ją jako najtańszą niewdzięczną, najbardziej nie docenianą. Pracę, w której są okazje do kar, brak jest okazji do nagród.

I wówczas w Tomaszowie, choć zdążyliśmy z węglem, wiedziałem, że nie czeka mnie nagroda, tylko przykra rozmowa z Szeffem.

Przed wszystkim trzeba pozbyć się drzeczysy — pomyślałem kierując się do zakładowego ambulatorium.

listy

Geologia i miernik

W środowiskach pracowników instytucji geologicznych, geofizycznych, wiertniczych, górniczych i pokrewnych wrze dyskusja o ekonomice poszukiwań i miejscu prac, badań geologicznych w nauce i w przemyśle.

W „Technice Poszukiwań” Czasopiśmie Przedsiębiorstw GUS (zeszyt 3/51) Adam Dyszyński pisze m. in. o ekonomice poszukiwań: „Znaczenie właściwych mierników ilości i efektów pracy przedsiębiorstwa geologicznego czy geofizycznego jest sprawą o dużym znaczeniu gospodarczym. Niestety do chwili obecnej nie udało się w Polsce wypracować takiego systemu mierników, który pozwalałby na mierzenie zarówno efektów pracy geologa i geofizyka o znaczeniu ogólnospołecznym, jak i wkładu pracy i gospodarności samych przedsiębiorstw.

Przedstawiając zagadnienie całocisowo chodzi właściwie o jedno zadanie, tzn. o znalezienie mierników ekonomiczności ogólnej — całkowitej zarówno ze względu na wyniki, jak i na koszty. Ponieważ jednak tak rozumiana ekonomiczność poszukiwań byłaby wyrażona dopiero w skali całego kraju i na przestrzeni bardzo długiego okresu czasu, należy posługiwać się pojęciami odpowiednio zawężonymi.

Do chwili obecnej w praktyce rozliczania i oceny przedsiębiorstw poszukiwawczych stosowane są jedynie oceny ilościowe, związane z ilością wykonywanej pracy i jej kosztami. Wskaźniki te zapożyczone z ekonomii przedsiębiorstw przemysłowych nigdy nie były zadowalające jako narzędzia rozliczania i oceny prac geologicznych i geofizycznych. Są one zresztą likwidowane w samym przemyśle, gdzie wprowadza się obecnie nowe zasady planowania, finansowania i rozliczania oparte o zasadę zysku. Projektuje się także wprowadzenie analogicznego systemu w resorcie geologii”. Istnieje jednak okoliczność powodująca, że zasada zysku ma w geofizyce i geologii ograniczone znaczenie. Wynika to z naukowego charakteru prac poszukiwawczych. Oszczędność na pomiarach (zysk) nie jest najważniejszą czynnością, o której nam chodzi w procesie poszukiwań. Wyniesienie go na plan pierwszy będzie działaniem nieadekwatnym w stosunku do rzeczywistości i może doprowadzić do sytuacji, że cel główny stanie się celem drugorzędym zarówno w umysłach jak i działaniu ludzkim.

Inny autor Jerzy Pawlak, w tym samym czasopiśmie, podkreśla, że „nie wszyscy zdają sobie sprawę z miejsca prac geologicznych w procesie reprodukcji. Często wygłaszane są poglądy, że prace geologiczne (hydrogeologiczne), jako że „ich przedmiotem” są badania, są pracami naukowo-badawczymi. Innymi słowy, że prace geologiczne to działalność naukowa. Pojęcia produkcji geologicznej używa się co najmniej w enduzyzmie, niejako z przekąsem. Wydaje się, że czas jednoznacznie sprawę wyjaśnić, tym bardziej, że chodzi nie tylko o dywagacje teoretyczne, ale i względy par excellence praktyczne”.

Słowem istnieją różnice zdań na temat jakie miejsce spełniają prace geologiczne w procesie reprodukcji. Wiele osób jest zainteresowanych tą problematyką.

Proszę o podjęcie tego tematu w sposób obiektywny i przedyskutowanie go w kategoriach ekonomicznych, a nie partykularnych czy emocjonalnych, jak to czynią nieraz w naszym środowisku. Można to zrobić na Warszach poczytnych łamach.

JERZY SWISTEK
Warszawa

Statystyczny chwyt

W niektórych krajach kapitalistycznych oraz w Jugosławii corocznie dokonuje się zestawienia największych przedsiębiorstw przemysłowych, usługowych itp. Najbardziej znaną klasyfikacją jest lista 500 największych korporacji przemysłowych USA, publikowana od lat przez amerykański miesięcznik poświęcony zagadnieniom businessu „FORTUNE”.

Chciałbym podać pod rozważanie władzom gospodarczym, GUS-owi i prasie możliwości wprowadzenia tego zyczenia w naszym kraju. W corocznych zestawieniach proponuję uwzględnić początkowo podstawowe informacje: wartość produkcji, wielkość zatrudnienia, wartość eksportu majątku przedsiębiorstwa i osiągnięty zysk (wraz ze współczynnikiem wywodzącym się z tych wielkości).

Pamiętając o trudnościach powstających przy porównywaniu ekonomicznej sytuacji poszczególnych jednostek gospodarczych, systematyczne podawanie do wiadomości ogólnej podstawowych liczb, charakterystycznych działalności przedsiębiorstw mogłoby być jedną z metod kontroli ogólnospołecznej oraz, co jest nie mniej ważne, elementem „dobrej” rywalizacji.

DOKONCZENIE NA STR. 4

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Tworzymy system współzawodnictwa pracy, honorujemy ludzi dobrej roboty — przeniesimy to na szczebel jednostek gospodarczych.

Oczywiście niedostatki naszego systemu finansowo-sprawozdawczego mogą deformować w pewnej mierze układ „tabeli” — jednak zestawienie takie ze wszystkimi zastrzeżeniami może stanowić przydatny materiał ukazujący różnice w sposobach obliczania np. rentowności i innych współczynników ekonomicznych.

Konkretnie formy wymagałyby oczywiście szerszej dyskusji z udziałem tak ocenianych, jak i oceniających; celem tego listu jest jednak „podniesienie” samego zagadnienia, a wierzę, że warto jest ono przedyskutowania.

JERZY MILEK
Siemianowice

Podróże kształcą

Będąc na praktyce w RFN kupiłem elektroniczny kalkulator kieszonkowy za sumę, którą mogłem zaoszczędzić w ciągu 2-ech tygodni (ok. 75 DM).

„Pan nie pomyślał, sobie, że taki kalkulator u nas w komisie kosztuje 20 tys. zł!” — krzyżała na mnie celniczka portu lotniczego Okecie. Wtedy oniemiałem, ale i dziś odpowiedziałbym: „Nie! Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że coś co tam jest powszechnie dostępne i służy dzieciom szkolnym, kosztuje u nas 700 proc. średniej pensji”. Kalkulator mi „zaaresztowano”, zagrożono kosztami składowego 5 proc. miesięcznie i postawiono przed problemem: zostawić czy wykupić?

Za poradą krewnych i znajomych wykupiłem. Zapłaciłem za kalkulator po raz drugi, i to 100 proc. naszej średniej pensji, i nie po to, by go mieć, ale po to, by go sprzedać. Cóż, zostałem niejako zmuszony... nie stać mnie na tak duże wydatki.

W komisach nie chciało ze mną rozmawiać: „nie ma nabywców”; „potrzebna opinia rzeczoznawców”.

Zupełnie inaczej sytuację rynkową naświetlił mój znajomy: „Tak zwyczajnie chcesz dać do komis? Ja kiedy dawałem, to 500 zł dalem zarobić komisowi, 500 zł „rzeczoznawcy”, który ustala cenę i jeszcze coś dla mnie zostawił”. Znajomy mógł żartować, zresztą sprzedawał co innego.

Dalem ogłoszenie do gazety. I tu... lawina telefonów. „A ma pan kwit celny? Bo my dla instytucji”. Miałem kwit celny, ale sprzedałem prywatnemu, bo taki był pierwszy i zapewnił mi zwrot poniesionych kosztów. Ale na tym niekoniecznie nauk płynących z podróży.

Przyjrzyjmy się bowiem „zjawiskom ekonomicznym” związanym z kalkulatorem. Istnieje szereg prac, które można istotnie szybciej, „prościej i pewniej” wykonać przy pomocy owego — taniego gdzie indziej — kalkulatora. Toteż instytucje państwowe decydują się na kupno takiego. Przy tej okazji instytucja państwowa posyła 3 000 zł do skarbu państwa tytułem cla, 15 proc. ceny do komis, 500 zł „komisowemu”. 500 zł „rzeczoznawcy”, tegi haracz prywatnemu importerowi (musi mu się to przelecieć opłacać), a o kosztach zakupu kalkulatora za granicą nie wspomnę, bo to groźne w porównaniu z rzekami pieniędzy uruchomianymi w kraju przy okazji tej transakcji.

Powstają pytania: po co to? Jak doszło do takiego wydzwignięcia ceny kalkulatorów? Komu to służy? Kto to podtrzymuje? Nie mam szukaną odpowiedzi na te pytania, ale ciekawi mnie to. Kalkulator przelecieć to nie alkohol, tylko narzędzie pracy i to nowoczesne narzędzie. Dlaczego od nowoczesności odgradzamy się? Czy po to, by chronić krajową produkcję minikomputerów? Można i tak, tylko dlaczego ja mam za to płacić?

W rezultacie odgradzamy się od nowoczesnych, wydajnych metod pracy, tracimy, tak cenny podobno w dobie rewolucji naukowo-technicznej czas (liczyliście zamiast kalkulatora) i kierujemy strugę forsy do ludzi i instytucji, bez których społeczeństwo i tak by świetnie funkcjonowało (prywatny importer, „komisowy” rzeczoznawca).

A.S.
Warszawa

P.S. Wiedzę wzbogaciłem, ale kalkulatora nie mam...

TRZYDZIEŚCI LAT GOSPODARKI POLSKI LUDOWEJ

TRZĘSC książki „30 lat gospodarki Polski Ludowej” pod redakcją naukową KAZIMIERZA SECOMSKIEGO jest tak bogata, różnorodna i w wielu przypadkach zupełnie nowatorsko ujęta, iż niepodobnie jest, aby ją bliżej zaprezentować czytelnikowi w krótkiej nocy bibliograficznej. Z konieczności ograniczymy się do zasygnalizowania tematów, które spina jedną klamrą: wszystkie stanowią pogłębioną i unikliwie udokumentowaną ocenę trzydziestoletnich dokonań na różnych odcinkach naszego życia. Wszystkie tematy opracowano z uwzględnieniem najnowszego stanu wiedzy i przy uwypukleniu rezultatów ostatnich lat.

Książkę otwiera artykuł MIECZYSLAWA JAGIELSKIEGO prezentujący syntezę przemian, jakie dokonały się w toku socjalistycznego rozwoju Polski. Autor wskazuje przy tym, że przyszłość naszego kraju związana jest z kontynuacją i pogłębianiem polityki społeczno-gospodarczej zapoczątkowanej doniosłymi decyzjami VII i VIII Plenum KC oraz VI Zjazdu PZPR przy współdziałaniu z pozostałymi krajami socjalistycznymi w sferze ideologicznej, politycznej i gospodarczej.

Artykuł „POLSKA — EUROPA — ŚWIAT”, napisany przez STANISŁAWA KUZŃSKIEGO, podejmuje złożoną problematykę trzydziestoletniego dorobku Polski Ludowej i tła postępu gospodarczego Europy i świata. Jest rzeczą oczywistą, że miana sukcesów na poszczególnych polach życia społeczno-gospodarczego

Polski byłaby ułomna, gdyby nie ujmować jej w szerokim kontekście międzynarodowym. Przystępując do analizy naszych osiągnięć na tle świata, przedstawia autor różnice w obiektywnych warunkach rozwoju gospodarczego Polski i innych krajów. Artykuł stanowi przekonującą odpowiedź na pytanie, czy miejsce Polski na drabinie rozwoju społeczno-gospodarczego Europy i świata poprawia się, w jaki sposób i w których dziedzinach, a gdzie nasze tempo rozwoju towarzyszą jeszcze cienie.

JOZEF PAJESTKA pisze o dynamice i przemianach strukturalnych rozwoju kraju. Po rekapitulacji najważniejszych osiągnięć gospodarczych, spora miejsca w artykule poświęca czynnikom postępu w procesie rozwojowym, kładąc akcent na „filozofię” przyczyn sprawczych postępu społeczno-gospodarczego. Autor słusznie zaznacza, że ideologiczna teza, iż rozwój jest dla człowieka i przez człowieka, choć zawsze miała uznanie, to jednak w odczuciu społecznym nie we wszystkich przypadkach działalności praktyczna była z nią zgodna. Tym bardziej godzi się podkreślić istotne nowum polityki ostatniego okresu, tj. zwrócenia uwagi na praktyczne oddziaływanie wielu złożonych sprzężeń i czynników ekonomicznych, socjologicznych i politycznych. W drugiej części artykułu przedstawia niektóre zmiany makrostruktury gospodarczej Polski, szczególnie zaś przemiany w strukturze społeczno-zawodowej ludności, wyposażeniu mają-

tkowym kraju oraz w produkcji przemysłowej.

O polityce uprzemysłowienia Polski pisze ANDRZEJ KARPIŃSKI. Przypomnienie kardynalnych zasad socjalistycznej industrializacji pozwoliło autorowi rozróżnić dwa etapy uprzemysłowienia Polski. Cały okres 1950—1970 r. postuluje, że na pierwszą fazę industrializacji, za okres tworzenia silnego kompleksu przemysłowego, zwłaszcza przemysłu środków produkcji. Zgodnie z tą umową periodyzacją, Polska z początkiem lat 70-tych wkroczyła w dojrzałą fazę socjalistycznego uprzemysłowienia. Jej treścią stało się wykorzystywanie zbudowanej bazy przemysłowej do rekonstrukcji pozostałych gałęzi przemysłu oraz rolnictwa. Autor podejmuje i broni tezę, że o zakończeniu procesu industrializacji nie można mówić dopóty, dopóki rolnictwo nie jest oparte na technice przemysłowej. Bilansując dotychczasowe efekty industrializacji w Polsce, autor wskazuje na pewne słabości, których nie dało się uniknąć, a które obniżyły ogólną efektywność uprzemysłowienia. Jest to dobra przesłanka dla rozważań na temat głównych zadań, które kraj musi rozwiązać w następnym trzydziściolciu.

Na temat miejsca rolnictwa i problemów żywnościowych Polski pisze JOZEF OKUNIEWSKI. Po wskazaniu na poważną rolę rolnictwa i przemysłu rolnego w ogólnej równowadze ekonomicznej społeczeństwa, autor omawia kształtowanie

się potrzeb żywnościowych kraju oraz stopień ich zaspokojenia. Na tym tle zostały wyłonięte kluczowe czynniki dynamizujące rozwój rolnictwa w trzydziściolciu.

Rola stosunków gospodarczych z zagranicą w rozwoju Polski jest przedmiotem artykułu HENRYKA KISIELA. Zatrzymuje się on na ewolucji, jaka nastąpiła dotychczas w naszej polityce wymiany z zagranicą. Szczegółowej analizie poddaje tendencje wymiany towarowej Polski na tle handlu światowego. Osobno zostały omówione handel i współpraca gospodarcza Polski z krajami socjalistycznymi, rozwiniętymi i krajami Trzeciego Świata. Autor zwraca uwagę na problemy organizacji i efektywności ekonomicznej naszego handlu z zagranicą, co pozwala mu sprecyzować warunki, które będą w przyszłości decydować o rozwoju międzynarodowej współpracy gospodarczej Polski.

ZBIGNIEW WOJTERKOWSKI poddaje szczegółowej analizie rozwój poszczególnych rodzajów infrastruktury techniczno-ekonomicznej Polski.

ANTONI RAJKIEWICZ kreśli obraz warunków życia społeczeństwa. Jak wiadomo, jest to problematyka szczególnie złożona, w której spłatają się elementy polityki gospodarczej i społecznej. Jest przy tym to zagadnienie trudne do uchwycenia za pomocą w pełni porównywalnych syntetycznych wskaźników. Na kanwie przemian w strukturze społecznej ludności autor przedstawia dynamikę dochodów i spożycia oraz ich zmiany strukturalne. Wiele miejsca autor poświęca kwestiom spożycia społecznego, rozwoju infrastruktury gospodarczej, zabezpieczenia społecznego oraz upowszechnienia oświaty, kultury i turystyki.

LESZEK KASPRZYK koncentruje się na omówieniu roli nauki w rozwoju społeczeństwa gospodarczego Polski. Po przedstawieniu rozwoju kadr naukowych, wskazuje na pogłębianie się wiedzy nauki z pośrednią działalnością gospodarczą. Problematykę rozwoju oświaty i wychowania na

różnych etapach wzrostu gospodarskiego podejmuje Jan SZCZEPAN-SKI.

Cennym uzupełnieniem ocen i refleksji dotyczących przeszłości i współczesności jest zarysowany w artykule KAZIMIERZA SECOMSKIEGO obraz społeczeństwa i gospodarki polskiej w latach 1990—2000. Skryształizowana koncepcja perspektywicznego rozwoju kraju zmierza do zapewnienia Polsce osiągnięcia stadium w pełni rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Wymaga to znajomości przyszłych zasobów ludzkich, określenia przyszłych możliwości krajowej bazy surowcowej, rozmiarów środków trwałych i możliwości ich wykorzystania. W oparciu na przewidywanych w przyszłości warunkach rozwojowych autor przedstawia syntetyczny obraz przeobrażeń struktury społecznej i gospodarczej kraju oraz przewidywany około 1990 r. poziom stopy życiowej społeczeństwa.

Perspektywicznym aspektem przestrzennego zagospodarowania Polski w znacznej części artykułu poświęca uwagę JOZEF PIN-KOWSKI. Na tle dotychczasowych efektów w kształtowaniu struktury przestrzennej kraju autor postuluje najważniejsze kierunki w dziedzinie zagospodarowania przestrzennego. Dużo miejsca poświęca autor dla omówienia szczegółowych problemów przestrzennego rozwoju produkcji i kształtowania w przyszłości środowiska naturalnego.

Rozległy wachlarz problemów zawartych w sygnalizowanej książce, w której część została już zaprezentowana na łamach Z. G., sprawia, iż jest ona interesująca dla bardzo szerokiego kręgu czytelników. Kolejne tematy mogą dobrze służyć aktywowi społecznemu i propagandowemu. Niewątpliwym walorem tej publikacji jest bogactwo materiału informacyjnego.

W.G.

1) „30 lat gospodarki Polski Ludowej”. Praca zbiorowa pod redakcją naukową KAZIMIERZA SECOMSKIEGO, PWE 1974, str. 384

ZARĘKAWKI I KOMPUTER

ANDRZEJ CHMIELEWSKI

PRZECHODZĄC np. ulicą Kruczą około godziny 16, wpada się w tłum urzędników kończących pracę w ministerstwach i zjednoczeniach. W naszym potocznym języku utarła się dość pogardliwa nazwa tej grupy ludzi — „urzędasy”. Rzeczywiście statystycznie obywateli, stykając się z administracją najczęściej ma do czynienia z przysłówkową panną Krysią, która w godzinach urzędowania małuje sobie paznokcie lub spokojnie popija herbatkę.

Tymczasem funkcjonowanie państwa we wszystkich aspektach jego działalności opiera się właśnie na administracji. Każdy się może o tym przekonać, sięgając do lektury książki Jacquesa Ferriera¹⁾. Nie wdając się w semantyczne niuanse słowa administracja, można stwierdzić, że autor jest apologetą tej dziedziny ludzkiej działalności, świadczy cho-

ciażby o tym sam tytuł pracy. J. Ferrier pisze, że:

„... To wszystko prowadzi nas do wyodrębnienia dwóch rodzajów działalności w dziedzinie administracji: zadań administracyjnych wykonawczych oraz administratorów, zarządców lub menadżerów, executive według słownictwa dziś praktykowanego, które to nazwy uzupełniają się przymiotnikami określającym pozycję w hierarchii (administrator generalny, wysoki zarządca lub jak mówiono — wysoki urzędnik, top manager, chief executive)”.
Rola administracji stale wzrasta. Np. w USA 45 proc. całej czynnej zawodowo ludności pracuje w administracji. Same tylko drukarnie zużywają rocznie przez tę masę ludzi przekraczając liczbę 15 miliardów egzemplarzy. Równocześnie oblicze administracji zmienia się, a jej działalność podlega technicyzacji. Dzisiaj

żaden większy urząd nie może się właściwie obejść bez maszyn liczących i komputerów. Na tym tle rodzi się jednak duże niebezpieczeństwo. Mianowicie: na przebieg procesów społecznych, ekonomicznych, politycznych coraz większy wpływ mają technokrati, informatycy — ludzie, którzy znają wspaniałe tajniki komputerów, a także niebezpieczeństwo i korzyści, jakie może przynieść wykorzystanie tych maszyn. Tym ludziom jednak brakuje — jak to nazywa autor książki — pewnej dozy „sentymentalizmu”, a ich praca opiera się wyłącznie na zimnej i wyrachowanej kalkulacji. Stąd nasuwa się jeden wniosek — administratorami, ale tymi Wielkimi Administratorami, odpowiedzialnymi za najważniejsze procesy w społeczeństwie i gospodarce powinni być jednak humaniści. Bowiem dopiero człowiek o takim wykształceniu może objąć i należyście pokierować coraz bardziej skomplikowanymi procesami społecznymi, ekonomicznymi, politycznymi, międzynarodowymi. Oczywiście ten administrator — humanista powinien znać, a właściwie musi znać elementy nauk ścisłych — matematyki, informatyki, cybernetyki. Wynika to z tego, że on właśnie wydaje polecenie szczeblowi niższemu, a więc tym ludziom, któ-

rzy bezpośrednio stykają się z komputerem i dla których owa maszyna jest podstawowym narzędziem pracy.

J. Ferrier poświęca więc wiele rozdziałów swej pracy elementom matematyki wyższej: teorii macierzy i grafów, kombinatoryce, teorii gier, badaniom operacyjnym. Autor wyjaśnia również w sposób przystępny samo działanie komputera, programowanie pracy, działanie urządzeń peryferyjnych.

Tylko poprzez poznanie, chociażby w wielkim skrócie, tych wyżej wymienionych elementów prawdziwy administrator może uniknąć sytuacji, którą przytacza autor: „Pewien dyrektor z Westinghouse Electric Company po powrocie do biura, na który zaprosił dwa tuziny zatrudnionych w jego firmie młodych matematyków, zwierzył się swemu przyjacielowi: „Zwariowałem! Ci ludzie mówili do mnie przez dwie godziny i nic z tego nie rozumiałem”. Ów dyrektor uczestniczył w tej rozmowie tak, jakby była prowadzona w języku nieznany, języku używanym w innych krajach, ba, nawet na innej planecie”.

J. Ferrier tak napisał swą książkę, że można ją spokojnie czytać, zaczynając od jakiegokolwiek rozdziału. Każdy z rozdziałów (zwłaszcza

te, które są poświęcone naukom ścisłym), chociaż mówi o rzeczach trudnych napisany jest językiem łatwym, dostępnym dla każdego bez względu na poziom i kierunek wykształcenia. Dwa pierwsze i dwa ostatnie rozdziały są właściwie esejem napisanym znakomitym językiem, w którym autor pokazuje dużej klasy erudyty i właśnie ów humanizm, który powinien cechować każdego administratora. Poza stałe rozdziały, z racji swej roli jaką spełniają, stanowią formę krótkich wykładów nauk ścisłych.

Książkę można polecić właściwie wszystkim, a na zakończenie przytoczę jeszcze jeden cytát, charakterystyczny pogląd autora:

„Jeżeli trzeba konkludować, to zapropnujemy administratorom, przepełnionym duchem prawa, humanizmu, nauki i pięknego języka, to zdanie wyjęte z przedmowy do Ducha Praw: „Gdybym mógł sprawić, aby ci, którzy rozkazują, podnieśli swą wiedzę, a ci, którzy słuchają, znaleźli nową przyjemność w posłuszeństwie — uważałbym się za najszczęśliwszego ze śmiertelników. Chwała dobrym administratorom”.

1) Jacques Ferrier. „O naukowym administrowaniu”. Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, W-wa 1974, str. 410, cena zł 50.

prasa

Kiedy mówimy o szybkiej dynamice rozwojowej — mamy na myśli wielkość w skali makroekonomicznej. Kiedy mówimy o równowadze, o napięciach — mamy na myśli proporcje między działaniami i branżami. Warto jednak na te problemy spojrzeć i od innej strony. Od strony poszczególnych regionów kraju, miast i miasteczek. To spojrzenie jest szczególnie ważne dla społecznej oceny naszej gospodarki, pokazuje bowiem w innym nieco przekroju i osiągnięcia i dziedziny, gdzie jest jeszcze szczególnie dużo do zrobienia.

W ostatnim numerze „KULIS” ukazała się relacja z dyskusji z naczelnikami czterech małych miasteczek w województwie łódzkim. Największe z nich — Wieruszów — liczy sobie 5 tys. mieszkańców. Co w skali takich organizmów społecznych jest problemem najważniejszym? Odpowiedź była jednoznaczna — mieszkanie. O czym by nie mówiono, o której stronie by nie podchodzono do

problemów poszczególnych osiedli — kończyło się na tej sprawie. Marzenia o kluczowym przemysle, o inwestycjach — w podkłęście miały też tę jedną sprawę. Chodziło o mecenasa, który poprze starania władz miejscowych, który do argumentów społecznych doda też jeden najważniejszy — potrzebujemy ludzi do pracy, a nie znajdziemy ich bez mieszkań. Marzeniem władz są dwa, trzy bloki — mogą być brzydkie, mogą być nawet z usterek — byle były.

Jeden tylko z naczelników nie zgłaszał sprawy mieszkań, jako postulat do władz wojewódzkich czy centralnych. On próbuje zbudować blok na własną rękę. Jeździ i wyprasza, wyludza materiały, w kółko rolniczym tworzy brygadę budowlaną i ma nadzieję w ten sposób zacząć budownictwo mieszkaniowe — bez oglądania się na to, co mu dadzą „s góry”. Ma to być chyba dość specyficzny czyn społeczny. Metoda w budownictwie mieszkaniowym do-

tychczas raczej nie stosowana, ale chyba lepsza niż bierne oczekiwanie. Naczelnicy innych miast stwierdzili bowiem wręcz, że nie bardzo są w stanie dokonać jakiegokolwiek mobilizacji społecznej, nie mogą uruchomić inicjatywy miejscowej tak daleko, jak daleko nie wybudują choć jednego bloku, nie dadzą społeczeństwu dowodu, że i ich miasteczko jest objęte ogromnym ruchem, postępowo dokonującym się w całym kraju.

Wydało się, że z tej dyskusji wynika parę ważkich wniosków. Budujemy przecież mieszkańca sporo, plan pięcioletni w tym zakresie będzie przekroczony o 3-4 procenty. Do dobrego się jednak szybko przyzwyczajamy — 3-4 procentowe przekroczenie planu już nikogo nie satysfakcjonuje — bo na innych odcinkach plan zostanie przekroczony o 20, a często i o 50 procent. Budzi to pewną niecierpliwość społeczną, a ponieważ nasza propaganda tak duży nacisk kładzie na budownictwo

przemysłowe, pokazuje ciągłe budowy, gdzie przypleszono harmonogramy — trudno jest przekonać tych, którzy mieszkają w osiedlach, gdzie od wielu lat nie nie budowano — że nie było takich możliwości.

I tu dochodzimy do drugiego problemu. Problemu rozstrzygniętego zresztą na V Plenum, rozstrzygniętego w perspektywie lat 90-tych. Jaką przede wszystkim funkcję powinno u nas spełniać budownictwo mieszkaniowe? Czy być elementem infrastruktury przemysłowej, niezbędnym dla pełnego wykorzystania majątku produkcyjnego, czy też mieszkanie stanowi samodzielną wartość, zaspokajającą jedną z najistotniejszych potrzeb społecznych? A więc czy budować przede wszystkim tam, gdzie przemysł odczuwa największy potrzeb jest największa, czy tam gdzie przemysł odczuwa największy brak pracowników? Można na to odpowiedzieć, że nie ma między tymi dwoma funkcjami mieszkania sprze-

żeczności. Jest to odpowiedź prawidłowa pod warunkiem ogromnego zwiększenia skali budownictwa mieszkaniowego. Realnie jednak patrząc w ciągu kilku najbliższych lat trzeba będzie dokonywać jednak wyboru między tymi funkcjami i bez wątpienia przewagę mieć będzie funkcja „uzupełniania” potencjału produkcyjnego. Istnieje chyba jednak szansa złagodzenia tej sprzeczności. Wymaga ona jednak dodatkowego wysiłku od budownictwa, zmniejszenia zafascynowania wielką płytą i fabrykami domów, które mogą i powinny załatwić problem w dużych aglomeracjach, ale które nie powinny i nie mogą przekreślić szans małych miasteczek, gdzie cegła i wapno (były tylko były dostępne) zaspokajają większość potrzeb. W tych małych miasteczkach żyje jeszcze wielu mieszkańców naszego kraju i trzeba dołożyć wysiłku, żeby i ich istotne potrzeby miały szansę na zaspokojenie.

S.C.



MIEJSCE W AUTOBUSIE

ZYGMUNT ŻELWAN

Komunikacja autobusowa zdominowała w ciągu ostatnich kilku lat wszystkie rodzaje przewozów pasażerskich, zarówno w komunikacji międzysiedlowej, jak w komunikacji miejskiej.

W 1973 r. autobusy komunikacji publicznej (PKS i spółdzielnie) przewiozły między osiedlami 1,9 mld osób, w komunikacji miejskiej zaś 2,8 mld pasażerów. Przewozy pasażerskie kolejają wyniosły w minionym roku ok. 1 mld, a przewozy tramwajami — 2,5 mld osób. W bieżącym roku sama Państwowa Komunikacja Samochodowa ma przewieźć autobusami ok. 2,1 mld osób.

Pasażer lat siedemdziesiątych ma prawo żądać za swoje pieniądze przyzwoitych, jeśli już nie komfortowych warunków jazdy, dogodnych połączeń i godzin odjazdu, punktualności i niezawodności, rzetelnej informacji, uprzejmości i kulturalnej obsługi na dworcach i w autobusie. Niestety, w przeważającej mierze jest to wciąż pieśń nadziei. Przepelnione autobusy, ciasnota na dworcach PKS, niepewność czy się zdąży na czas do pracy czy do szkoły i kiedy wróci do domu — utrzymują się w „normie” od lat.

POTRZEBY WIĘKSZE OD MOŻLIWOŚCI

W latach 1971—1975 liczba podróży wzrosła o około 70 proc., w tym okresie liczba autobusów wzrosła tylko o około 53 proc. Prawda, że nie są to te same autobusy, które kursowały po naszych drogach w latach sześćdziesiątych; w importowanych z Jugosławii Sanosach i TAM-ach, w nowych Berlietach i wprowadzanych do seryjnej produkcji Autosanach jeździ się znacznie wygodniej. Ale prawdą jest także, że jest tych autobusów za mało. Nożycę popytu i podaży miejsc w autobusach na razie nie zdrażają tendencje do zwierania się, przeciwnie, mimo ogromnych wysiłków organizacyjnych, inwestycyjnych, technicznych — wzrost potrzeb wciąż jeszcze znacznie wyprzedza możliwości ich zaspokajania.

W tej sytuacji nie można nie podkreślać znaczenia niedawnych decyzji o podjęciu w Sanoku i Jeliczu produkcji nowoczesnych autobusów oraz zakupu paru tysięcy wozów za granicą. Jednak na wyraźne efekty trzeba będzie zwrócić uwagę co najmniej do czasu, gdy nasze zakłady osiągną docelową zdolność produkcyjną 5 tysięcy autobusów rocznie, to znaczy praktycznie do końca lat siedemdziesiątych.

W 1974 r. pasażer kupując bilet w kasie lub u konduktora autobusu, zwraca przedsiębiorstwu koszt przejazdu, jak wszędzie na świecie, z pewną nadwyżką. Natomiast podróżny z biletem miesięcznym płaci mniej więcej 10 groszy za kilometr, podczas gdy świadczenie tej usługi kosztuje 22 grosze. Z biletów miesięcznych korzysta obecnie około połowa klientów PKS, przy czym ich liczba w stosunku do ogółu podróżnych szybko rośnie. Z tej pódar-mowej jazdy korzysta codziennie 2,6 miliona osób udających się do pracy oraz 750-tysięczna rzesza młodzieży szkolnej. Jest to słuszne, celowe, społecznie uzasadnione.

Z drugiej strony przedsiębiorstwo musi wypracować zysk, od którego zależą, w ostatecznym rozrachunku z administracją terenową, m.in. premie, środki inwestycyjne. W poszukiwaniu „czeliny”, którą można by się przesiłniać, tj. osiągnąć maksymalny efekt, a jednocześnie sumiennie spełnić obowiązki społeczne, oddziały PKS uciekają się do świadczenia tzw. przewozów pracowniczych umownych. Zakłady,

zwykle bogate, zamawiają określone liczby wozów wyłącznie do obsługi własnych pracowników, widząc w tym częstokroć szansę werbunku załogi spośród mieszkańców odległych wiosek, których odstrasza podróżowanie w zatłoczonych i jadących nie zawsze w dogodnej porze autobusach „rozkładowych”. Według umowy, zakład płaci więcej, niż wynosi cena biletu miesięcznego, pokrywając koszty własne przewoźnika. Wilk jest, zdawałoby się, syty i owca cała, ale...

Autobusy odbywają z reguły po dwa kursy w ciągu doby, a przez resztę czasu bywają wykorzystane rozmaicie. „Uszczerbek” taboru nie jest bagatelny, skoro np. zagłębie konińskie absorbuje 150, tarnobrzejskie 180, lubińskie powyżej 100 autobusów każdego dnia. Na domiar — wozu, zbierając po drodze pracowników, część tras przemierzają prawie puste, co psuje krew „normalnym” pasażerom czekającym na przystankach, często daremnie.

Przewozi się na razie tym sposobem tylko ponad pół miliona pracowników dziennie, ale zamownych kandydatów do przywileju jest coraz więcej. Przy tak „ustawionym” bodźcu pokusa to niemała dla oddziałów PKS. W pojedynku zaleceń administracyjnych i nacisków ekonomicznych wcześniej czy później biorą górę te ostatnie. Jedyne rozwiązanie polega na ich bodaj względnie pogodzeniu. Gdyby na przykład zakłady pracy dopłacały do biletów miesięcznych tak, aby PKS nie traciła na tym interesie, przewozy umowne straciłyby na atrakcyjności.

CZY TYLKO PROBLEM „KRÓTKIEJ KOŁDRY”?

Winę za niezadowalającą, a często po prostu złe, warunki podróży można zwać na trudności wzrostu, na problem „krótkiej kołdry”. Można, ale nie należy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można w stopniu wyższym niż obecnie wykozystać istniejący potencjał przewoźny. Poprzednio wspomnieliśmy o możliwościach w tej dziedzinie tkwiących w tzw. przewozach umownych. Znacznie większe rezerwy widzieć należy w sprawieniu funkcjonowania i w lepszym wyposażeniu zaplecza technicznego i remontowego.

Pomimo dużych środków inwestycyjnych złożonych na rozbudowę własnych stacji obsługi i zakładów napraw głównych, są one zdolne wykonywać obecnie tylko około 80 proc. napraw bieżących taboru PKS.

Jest faktem, że krajowy przemysł nie nadąża z produkcją np. urządzeń diagnostycznych, stanowiących podstawowy element wyposażenia każdej placówki obsługi. Chronicznie brakuje części zamiennych; np. w tym roku zagwarantowano dostawę zaledwie połowy niektórych typów części, a są i części zupełnie niedostępne. Prostsze elementy dorabia się na miejscu, choć to i żmudne, i kosztowne. Inne, np. resory, sprowadza się z Hiszpanii i Indii.

Nawiasem mówiąc i przemysł krajowy nie jest tu bez winy: częstotliwość uszkodzeń niektórych części jest pięciokrotnie (!) większa niż wynikałoby z norm eksploatacyjnych (np. skrzynie biegów, które powinny „wytrzymać” 240 tys. km, trzeba reperować po 30 tys. km).

Wreszcie kwestia jakości napraw bieżących: są stacje, jak w Kaliszu,

Jeleniej Górze, Warszawie, gdzie kontrole kwestionują znikomy procent napraw, ale — bywają i mniej rzetelne. Przy systemie wynagrodzeń „od godziny” trzeba patrzeć mechanikowi na ręce, by uniknąć przypadków partactwa. Dodajmy zaś, że każda stacja obsługi boryka się z niedoborem fachowców, że część zatrudnionych należałoby zwolnić, gdyby... znaleźli się na ich miejsce lepsi.

Czy to znaczy, że nie ma zmian? Są — i to ogromne. Stan sprzed czterech, nawet trzech lat, a dzisiejszy — dzieli już nie tylko pnąca się po stromej krzywej wskaźników gotowości technicznej i średnich przebiegów. Dzięki realnemu wzrostowi zdolności eksploatacyjnej taboru klient nie tylko nie odczuł dysproporcji dostaw autobusów i potrzeb przewoźowych, ale w niektórych przypadkach stwierdza poprawę warunków jazdy. Zaważyła na tym realizacja „Programu usprawnienia komunikacji autobusowej w latach 1973—1975”. Zaostrezenie dyscypliny napraw, obsługi i kontroli, nowelizacja i kodyfikacja przepisów, weryfikacja przydatności zawodowej kadr, regulacja plac mistrzów, korekta systemu premiowania pracowników zaplecza — to tylko niektóre z posunięć. Najbliższe lata przyniosą, dzięki budowanym zakładom, pełne zaspokojenie potrzeb PKS w dziedzinie napraw głównych taboru. Jak na dwa lata, zdziałano wiele. Ale i dużo więcej jest jeszcze do zrobienia.

KADRY DECYDUJĄ

Szczególnie dotkliwy jest brak kierowców. Wskazano, że w autobusie jest trudna; w transporcie ciężarowym zarabia się mniej, ale o ileż tam mniejsza odpowiedzialność, większa niezależność. Toteż płynność w tej grupie pracowników sięga 25 i więcej procent. I jak wszędzie, są lepsi i gorsi. By rzecz obrazowo — wzorowi jeżdżą do stanowisk naprawczych z usterkami pięć razy rzadziej niż najmniej dbali o powierzony im pojazd. Tych pierwszych — „hobbystów” — nie ma jednak w nadmiarze, skoro dyrektor jednego z przedsiębiorstw wysłuchawszy w Zjednoczeniu, jakimś to walorami musi odznaczać się kierowca zaspokojony na powierzenie mu nowego Sanosa czy TAM-a, oświadczył: „Wobec tego, to ja przyjął tych wozów, niestety, nie mogę”.

Czy PKS może mieć świetnie wyszkoloną załogę? Oczywiście. Pod warunkiem, że cały nasz transport zacznie szkolić kierowców w takich rozmiarach, jak to czyni właśnie PKS w swoich 44 szkołach przyzakładowych i ośrodkach. Wówczas bowiem kierowca, który uzyska wymagane kwalifikacje, nie pożegna się z dotychczasowym miejscem pracy. Obecnie spośród półtora tysiąca wyszkolonych w każdym roku, pozostaje w PKS tylko co czwarty.

Skoro już mowa o personelu: pracownikom stykającym się z klientem na co dzień, czy pełniącym swe funkcje z za biurka, wytyka się bezdusność, urzędniczy stosunek do pasażerów. Postawy takie są naganne, zgoda. Gdybyśmy jednak traktowali zjawiska społeczne wyłącznie jako przejawy złej woli jednostek, popadlibyśmy w herezję wobec socjologii. Metody perswazji jako środek zaradczy? Owszem, ale pod warunkiem, że wprędy rozpoznamy i wyeliminujemy motywacje postaw szkodliwych społecznie.

Biura PKS nie są, nie powinny być miejscem do „urzędowania”. Tu potrzebni są ludzie z inicjatywą, z otwartą głową i — co ważne — z dużą swobodą manewru. Ogromna dynamika wzrostu potrzeb przewoźowych stwarza niemal z każdym rokiem nowe sytuacje, nowe jakości. Zakrzepnięcie kierownictwa w stereotypie działania — to najgorsze, co może przydarzyć się przedsiębior-

stwu. W latach sześćdziesiątych gorset regulaminów organizacyjnych stawał się już ponad miarę ciasny. Ograniczając, nie zachęcał do skutecznych działań.

Początek zmian nosi tę samą datę, która wyznacza nadanie nowego tempa całej gospodarce. Ułożono projekt nowelizacji systemu organizacyjnego jednostek zarządzania. Przystąpiono do wydzielania komórek bądź stanowisk do projektowania komunikacji i doskonalenia metod układania rozkładów jazdy. Po-stanowiono uzależnić premie kierownictwa od regularności i punktualności kursowania autobusów. Usprawnia się system rozliczeń biletowych między jednostkami PKS. O-pracowuje się zasady wydzielania oddziałów przewoźowych pasażerskich z oddziałów zajmujących się ruchem osobowym i towarowym. Sprawa ruszyła więc z martwego punktu.

PKS NA PRAWACH WOG

Szanse szybszego usprawnienia komunikacji pasażerskiej stwarza projekt przyznania PKS, już od przyszłego roku, statusu wielkiej organizacji gospodarczej (WOG). Co by to oznaczało?

W skrócie: niezależność finansową od władz terenowych, większą swobodę działania z prawem do eksperymentu w zakresie — zarówno w planowaniu, inwestycjach, jak i w organizacji przewozów. Powstałaby

warunki do likwidacji monstrialnego systemu rozliczeń między jednostkami, dzięki czemu np. pasażer mógłby jak na PKP, wykupić bilet do dowolnej miejscowości. Można by utworzyć krajową rezerwę taboru i dysponować nim podług najlepszego rozpoznania, rozbudować infrastrukturę w skali makro (m.in. sieć łączności jako bazę informatycznego systemu kierowania przewozami), szybciej — dzięki dodatkowym inwestycjom — wydzielić komunikację pasażerską w odrębny pion usług, sięgnąć po wyższy stopień specjalizacji, wdrożyć skuteczniejsze bodźce premiujące nie tylko efekty ilościowe, ale i standard usług, pełniej wykorzystywać inicjatywę i pomysłowość kadr. Słowem, sztywna konstrukcja struktur zarządzania uległaby elastycznemu, przedsię-biorstwu uzyskaloby większą zdolność do adaptacji w zmiennych warunkach — rzecz nie do zrealizowania w obecnych ramach organizacyjnych.

Jest i ryzyko, zapewne: większa swoboda znaczy — większa odpowiedzialność. Powstaje pole działania dla energicznych i rozważnych — lecz i rośnie cena błędów.

Toteż, nie uprzedzając postanowień: przebudowa PKS według zasad wielkich organizacji gospodarczych byłaby dla jej ogniw trudnym egzaminem. Złożenie go oznaczałoby przejście o klasę wyżej.

Egzaminatorami byłiby, oczywiście, pasażerowie.



Zdjęcia S. ZUBCZEWSKI

nowe przepisy i zarządzenia

NOWE PRAWO WODNE

W nr. 38 Dziennika Ustaw ogłoszona została ustawa z dnia 24 października 1974 r. Prawo wodne (poz. 230).

Prawo wodne stosuje się do wód śródlądowych (powierzchniowych i podziemnych) oraz do morskich wód wewnętrznych, a gdy chodzi o ochronę przed zanieczyszczeniem i przed powodzią — także do morza terytorialnego.

W myśl Prawa wodnego dla zaspokojenia potrzeb ludności i gospodarki narodowej Państwo prowadzi planową gospodarkę wodną, co znajduje wyraz w perspektywicznych, wieloletnich i rocznych planach społeczno-gospodarczego rozwoju kraju.

Treść nowego Prawa wodnego, obejmującego 145 artykułów, ujęta została w następujące działy (niektóre z nich dzielą się z kolei na rozdziały): I. Przepisy ogólne (zasady ogólne, pozwolenia wodnoprawne, rozstrzygnięcie sporów), II. Korzystanie z wód (przepisy ogólne, powszechne korzystanie z wód, zwykłe korzystanie z wód, szczególne korzystanie z wód), III. Ochrona wód i ochrona przed powodzią (przepisy ogólne, ochrona wód przed zanieczyszczeniem, ochrona przed powodzią, regulacja i utrzymanie wód), IV. Budownictwo wodne (przepisy ogólne, melioracje wodne, zaopatrzenie w wodę), V. Spółki wodne, VI. Księgi wodne i kataster gospodarki wodnej, VII. Przepisy karne oraz VIII. Przepisy przejściowe i końcowe.

Na podkreślenie zasługują m. in. przepisy, wymagające pozwolenia wodnoprawnego na t. zw. szczególne korzystanie z wód, a w szczególności na: pobór wód powierzchniowych i podziemnych, wprowadzanie ścieków do wód lub do ziemi, gromadzenie ścieków w obrębie obszarów górniczych dla wód leczniczych, dokonywanie przewozów międzybrzo-gowych za pomocą urządzeń stałych, wydobywanie żwiru, piasku i innych materiałów oraz lodu, a także wycinanie roślin, w zakresie przekraczającym powszechne i zwykłe korzystanie z wód, dokonywanie spławu drewna lub innych materiałów.

Za szczególne korzystanie z wód i z urządzeń wodnych stanowiących własność Państwa pobiera się opłaty, które przeznaczają się na Fundusz Gospodarki Wodnej.

Zakłady pobierające wodę lub wprowadzające ścieki do wód lub do ziemi obowiązane są do dokonywania pomiarów ilości pobieranej wody oraz ilości i jakości odprowadzanych ścieków.

Nadto zakłady wprowadzające ścieki do wód lub do ziemi obowiązane są: budować, utrzymywać i eksploatować urządzenia zabezpieczające wody przed zanieczyszczeniem. Urządzenia takie — jeżeli uzasadniają to względy gospodarcze — powinny być wykonywane jako wspólne urządzenia zakładów.

Zakład produkcyjny, usługowy lub inny, z którego odprowadzane są ścieki, nie może być uruchomiony bez równoczesnego oddania do eksploatacji urządzeń zabezpieczających wody przed zanieczyszczeniem.

Nowe Prawo wodne zawiera znacznie rozwinęte przepisy karne. Dla przykładu należy wskazać na art. 122, w myśl którego: kto szkodliwie zanieczyszcza wody — podlega karze pozbawienia wolności do lat 5 i grzywny, a kto wbrew ciążącemu na nim obowiązкови nie utrzymuje lub nie eksploatuje urządzeń zabezpieczających wody przed zanieczyszczeniem — podlega karze pozbawienia wolności do lat 3 i grzywny do 50.000 zł. Nawet jeżeli sprawca dopuszcza się czynu nieumyślnie — podlega karze pozbawienia wolności do roku, ograniczenia wolności albo grzywny.

Nowe Prawo wodne wejdzie w życie z dniem 1 stycznia 1975 r. i z tym dniem utracą moc: zarówno dotychczasowe Prawo wodne z 1962 r., jak też przepisy z lat 1958—1965, dotyczące zaopatrywania ludności i rolnictwa w wodę a także popierania melioracji wodnych dla potrzeb rolnictwa.

NOWE PRAWO BUDOWLANE

W nr. 38 Dziennika Ustaw ukazała się również ustawa z dnia 24 października 1974 r. Prawo budowlane (poz. 229).

Ustawa składa się z 71 artykułów (ujętych w 13 rozdziałów) i wejdzie w życie z dniem 1 marca 1975 r. Zastąpi ona dotychczasowe prawo budowlane z 1961 r.

Nowe Prawo budowlane normuje działalność obejmującą sprawy wykorzystania terenów zgodnie z ustaleniami miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, projektowanie, budowę, utrzymanie i rozbiorę obiektów budowlanych oraz określa zasady działania organów administracji państwowej w tych dziedzinach.

Przez „obiekty budowlane” nowe Prawo budowlane rozumie stałe i tymczasowe budynki lub inne stałe i tymczasowe budowle, jak: mosty, budowle ziemne, tunele, drogi, linie kolejowe, sieci energetyczne i telekomunikacyjne, budowle hydrotechniczne, zbiorniki, wolno stojące instalacje przemysłowe lub urządzenia techniczne, oczyszczalnie ścieków, ściany oporowe, sieci uzbrojenia te-

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

KONIEC SUCHYCH LAT

ZBIGNIEW WYCIESANY

„Mając na uwadze wszechstronnie racjonalny i dynamiczny rozwój naszego kraju w najbliższym dziesięcioleciu, należy opracować w ciągu 2-3 lat koncepcję kompleksowego programu w zakresie ochrony naturalnego środowiska człowieka, gospodarki wodnej, regulacji Wisty...”

(Z Uchwały VI Zjazdu PZPR)

DŁUGO, bardzo długo problemy racjonalnej gospodarki wodnej w naszym kraju nie znajdowały należytego zrozumienia, jakkolwiek powszechna była i jest świadomość, że Polska jest krajem ubogim w wodę. Natura w tym względzie nie była dla nas łaskawa: na Podkarpaciu i w Sudetach woda występuje w nadmiarze w stosunku do potrzeb (choć i tam nie wszędzie) natomiast regiony uprzemysłowione południowej Polski oraz regiony rolnicze w środkowej części kraju są obszarami deficytowymi w wodę.

W końcu lat pięćdziesiątych powstał wprawdzie pierwszy perspektywiczny program rozwoju gospodarki wodnej, ale po pierwsze — nie nabrał on nigdy obligatoryjnego charakteru, po drugie — jego realizacja z różnych przyczyn była niekonsekwentna i cząstkowa. Podobnie rzecz się miała z następnymi programami rozwoju gospodarki wodnej. Obszary szczególnie deficytowe w wodę (GOP, Łódź, Wrocław) zmniejszyły wprawdzie nieco napięcia swoich bilansów wodno-gospodarczych, nie otrzymały jednak wody w takiej ilości (i jakości), aby można mówić o likwidacji deficytu na tych obszarach. Każda nowa większa inwestycja zmusza do realizowania, niejako w awaryjnym trybie, nowych ujęć, co w sumie jest kosztowne i mało efektywne.

NIE MOŻNA ODKŁADAĆ TYCH SPRAW

Przez lata całe prowadzono w wielu przypadkach rabunkową gospodarkę wodą, traktowano wodę jako wolny, powszechnie dostępny surowiec, bezmyślnie zanieczyszczano rzeki i potoki, z lekceważeniem odnoszono się do „głosów” wskazujących na konieczność „szczególnego” szanowania wody w naszym kraju, troski o jej czystość. Nie podejmowano też na miarę potrzeb działań na rzecz magazynowania wody, co pozwalałoby na wyrównywanie przepływu wód w rzekach i dawało gwarancję ciągłego zaopatrzenia ludności, przemysłu i rolnictwa.

Nie można twierdzić, że w tej dziedzinie nic nie zrobiono. W latach po II wojnie światowej zbudowano 38 dużych zbiorników retencyjnych, w tym kilka wielkich obiektów, takich jak Solina, Goczałkowice, Głębinów, Turawa, Tresna, Sulejów, Pakość. Szybkie jednak narastanie potrzeb wodnych i komplikowanie się sytuacji wodno-gospodarczej kraju (wyczerpywanie się zasobów wód powierzchniowych i podziemnych, zanieczyszczanie wód ściekami komunalnymi i przemysłowymi) sprawiło, że szybciej, niż przypuszczano jeszcze kilka lat temu, na niektórych obszarach i w niektórych porach roku pojawił się deficyt wody.

Wobec szybkiego narastania potrzeb deficyt ten pogłębia się. Ocena się, że przy obecnym stanie zabudowy głównych rzek i ich dorzeczy deficyt wody w 1980 r. wyniesie 2,7 km sześć, rocznie, a w 1990 r. — ok. 8 km sześć.

„Czerwony ołówek”, który w ubiegłych latach beceremonialnie skreślał z planów nieliczne zresztą inwestycje wodne, doprowadził do poważnych kłopotów obecnie i w najbliższej perspektywie. Gospodarka wodna jest jednym z głównych elementów infrastruktury, a poziom jej rozwoju determinuje ogólny wzrost społeczno-gospodarczy, i to w stopniu nie mniejszym niż inne elementy tej infrastruktury, takie jak energetyka, układ komunikacji i łączności, transport itp.

Prawdą jest, że inwestycje wodne są drogie, ale równocześnie woda jest surowcem pierwszej potrzeby o wszechstronnym zastosowaniu, jest dobrem społecznym, którego nie można niczym zastąpić. Podjęcie więc prac nad kompleksowym programem ochrony naturalnego środowiska człowieka i gospodarki wodnej znajduje pełne uzasadnienie społeczne szczególnie zaś tam, gdzie dla jakości wody utrudnia uzyskanie wysokiej jakości produkcji, czy też w tych miastach, w których woda dociera do mieszkań tylko w pewnych godzinach.

Nie można dalej odkładać nabrzmiałych spraw zaopatrzenia w wodę gospodarki i ludności. Nasze pokolenie musi podjąć realizację tego wielkiego dzieła, choć równocześnie nie ulega wątpliwości, że w obliczu tylu innych pilnych potrzeb nie uda się w szybkim czasie nadrobić kilkudziesięcioletnich zaniedbań w tej dziedzinie.

GOSPODARKA WODNA NABIERA ROZMACHU

Korzystny klimat dla spraw gospodarki wodnej pozwolił w ostatnich trzech latach na znaczne rozwinięcie prac programowych, projektowych, ustawodawczych. Trwają intensywne prace nad ostatecznym kształtem kompleksowego programu rozwoju gospodarki wodnej i ochrony środowiska naturalnego człowieka. Niedawno Biuro Polityczne zaleciło opracowanie rządowego programu prac badawczo-rozwojowych dla gospodarki wodnej. Ostatnie Plenum KC PZPR wskazało na konieczność priorytetowego traktowania inwestycji w dziedzinie zaopatrzenia wsi w wodę. Sejm uchwalił ustawę o prawie wodnym. Obok przyspieszenia szeregu inwestycji wodnych o podstawowym znaczeniu dla nowo wznoszonych obiektów przemysłowych, w trakcie realizacji znajduje się kilka wielkich zbiorników wodnych na Podkarpaciu, Sudetach i w środkowej części kraju. W najbliższym czasie podejmie się realizację kilku kolejnych wielkich obiektów. Można rzec, że skończyły się suche lata gospodarki wodnej, choć wciąż zdarza się jeszcze słyszeć głosy, że trzeba do minimum ograniczyć inwestycje w tym zakresie przekazując kłopoty z wodą przyszłym pokoleniom.

„Nie, można oczywiście, dać posłuchu tym głosom. Polska jest uboga w wodę, natomiast zapotrzebowanie jest ogromne. W latach 1960—1970 zużyte wody w skali kraju wzrosło o 80 proc. Obecnie potrzeby wodne gospodarki wodnej szacowane są na ok. 13 km sześć, rocznie, z czego przemysł zużywa ok. 7,6 km sześć, rocznie, a w roku 1990 — ok. 29 km sześć, to jest mniej więcej tyle, ile wynosi całoroczny odpływ wód do morza w roku przeciętnie suchym.

Na czoło problemów rozwojowych gospodarki wodnej wysuwa się sprawa ilościowego zapewnienia zasobów i maksymalnie oszczędnej gospodarki wodą. Pamiętać bowiem trzeba, iż przemysł i rolnictwo pobiera znaczne ilości wody, które bezzwrotnie zużytkowuje w procesach produkcyjnych.

Dla pokrycia wzrastającego zapotrzebowania na wodę niezbędna jest systematyczna i szeroka realizacja wielkich zbiorników wodnych. Przewiduje się, że do 1980 r. zostanie oddanych do użytku 10 wielozadaniowych zbiorników retencyjnych, jak również rozpoczęta zostanie budowa szeregu dalszych. Z ważniejszych zbiorników, które będą oddane do użytku już w najbliższym okresie wymienić można:

● **Besko na Wisłoku** — dla zaopatrzenia w wodę uzdrowisk w rejonie Iwonice i Rymanowej oraz zmniejszenia deficytu wody w Krośnie i Rzeszowie oraz redukcji fal powodziowych na Wisłoku (zakończenie inwestycji przewidziane jest w 1977 roku, koszt 348 mln zł);

● **Dobczyce na Rable** — zaopatrzenie w wodę pitną Krakowa oraz

ochrona od powodzi doliny Raby i Wisły (zakończenie inwestycji w 1979 r., koszt 1770 mln zł);

● **Klimkówka na Rople** — dla zlikwidowania deficytów wody w Gorlicach i Jasie oraz ochrona przeciwpowodziowa doliny Ropy (zakończenie budowy w 1979 r., koszt 790 mln zł);

● **Zespół zbiorników Czorsztyn-Sromowce** — cele wyrównawcze, energetyczne i przeciwpowodziowe (zakończenie budowy w 1981 r., koszt 3,8 mld zł).

W realizacji znajdują się również zbiorniki w **Ślupie na Nysie Szalonej** (dla zaopatrzenia w wodę Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego), **Mietków na Bystrzycy** (głównie dla potrzeb żeglowności).

Spśród zbiorników, których rozpoczęcie budowy nastąpi w latach 1975—1979, najważniejszymi są:

● **Jeziorsko na Warcie** (dla zaopatrzenia w wodę rolnictwa oraz zakładów przemysłowych w rejonie Konina, Śremska i Poznania),

● **Świnna Poręba na Skawie** (dla zaopatrzenia w wodę Górny Śląsk i woj. krakowski),

● **Chęciny-Brzezi na Nidzie** (dla zaopatrzenia w wodę rolnictwa oraz przemysłu w rejonie Białego Zagłębia),

● **Kamieniec Żabkowicki na Nysie Kłodzkiej** (dla zaopatrzenia w wodę Wrocławia, Dzierżoniowa, Świdnicy i Wałbrzycha),

● **Rymówka na Kaczawie** (dla zaopatrzenia w wodę Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego).

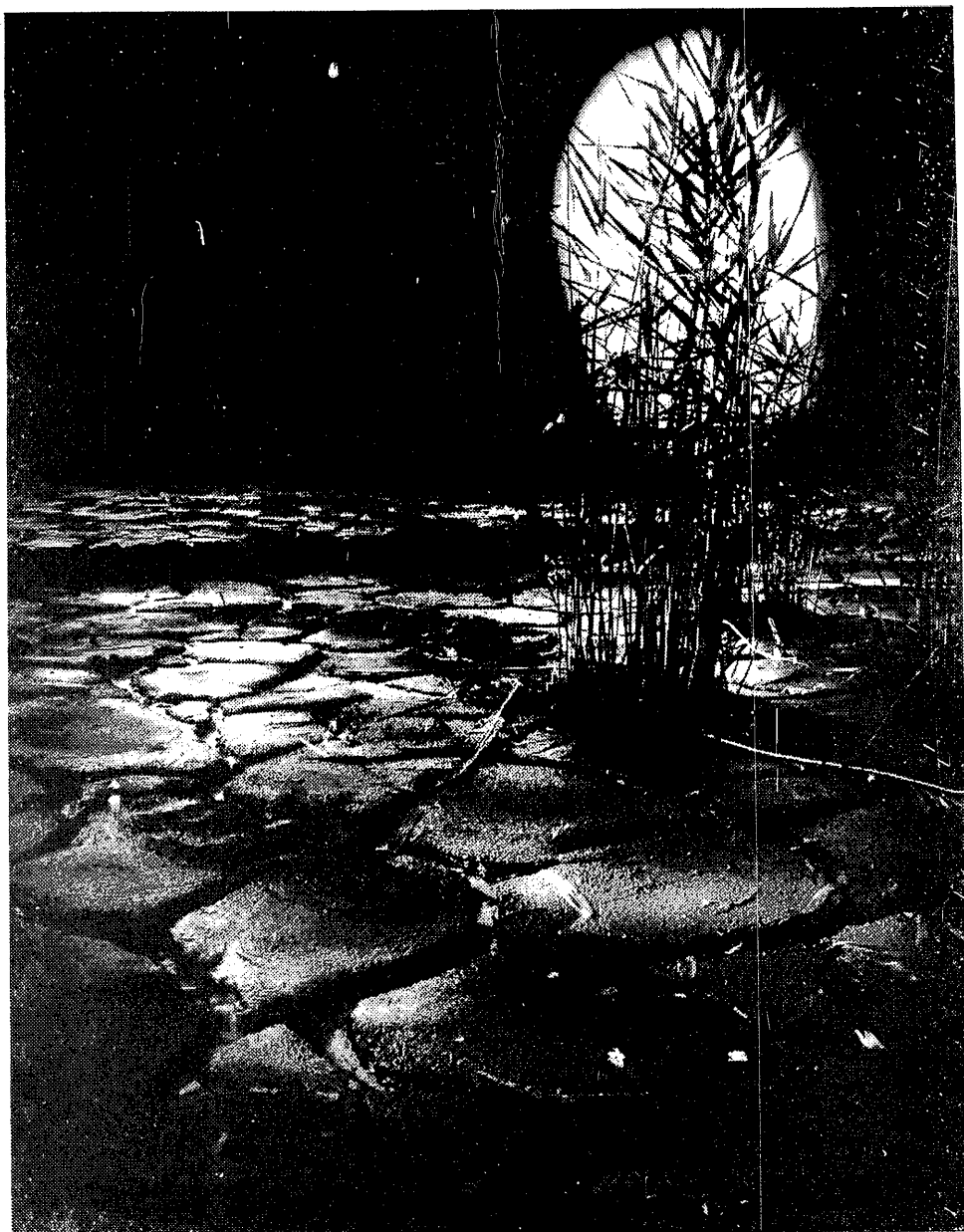
W latach następnych przewiduje się prowadzenie dalszej zabudowy rzek zbiornikami w ścisłym powiązaniu z lokalizacją rozwijających się ośrodków miejsko-przemysłowych i obszarami intensyfikowanej produkcji rolnej.

„PROJEKT WISŁA”

Szczególną rolę w programie rozwoju gospodarki wodnej w Polsce odgrywać powinna nasza główna rzeka — Wisła. Rzeka ta wraz z dorzeczami obejmuje 54 proc. całkowitej powierzchni kraju, a pobór wody na tym terenie stanowi 60 proc. krajowego zużycia wody. Wzrastające potrzeby gospodarki komunalnej, rolnictwa i przemysłu, rosnące ilości przemysłowych i komunalnych zrzutów i ścieków, a także potrzeba polepszenia warunków żeglugi śródlądowej i cele ochrony przeciwpowodziowej stwarzają konieczność kompleksowego potraktowania Wisły i zagospodarowania jej wód.

W latach 1968—1972 zespół pracowników „Hydroprojektu” przy współpracy z innymi ośrodkami naukowymi opracował pierwszy w dziejach Polski „Projekt kompleksowego rozwoju systemu wodnego rzeki Wisły”. Przy opracowaniu tego projektu wykorzystano pomoc finansową ONZ (pomoc ta w głównej mierze dotyczyła wdrożenia nowoczesnych metod planistycznych, zastosowanie rachunków optymalizacyjnych i modelowania matematycznego, stypendiów dla polskich specjalistów).

„Projekt Wisła” — dzieło polskich naukowców i praktyków — oceniony został przez Techniczny Zespół Doradczy ONZ nadzwyczaj wysoko. Jak mnie poinformowano w „Hydroprojekcie”, niektóre sformułowania w tej ocenie, podpisanej przez dyrektora Biura Współpracy Technicznej ONZ, stanowiły zaskoczenie dla zespołu pracowników opracowujących „Projekt Wisła” (np. „Brak w dotychczasowej praktyce światowej przykładu oparcia planowania wielozadaniowego całego basenu rzeki takiego rozmiaru na technice optymalizacyjnej... Osiągnięcia dokonane w czasie trzyletniego okresu trwania prac uważane są za wybitne. Biorąc pod uwagę dostępne dane o zasobach wodnych, otrzymano najlepsze możliwe do osiągnięcia wyniki... Zespół (Techniczny Zespół Doradczy — przypis autora Z. W.) — stwierdził, że wiele doskonale opracowanych fragmentów studium planistycznego nie wymaga komentarzy. Odnosił on niezwykle korzystne wrażenie, jeżeli chodzi o jakość i za-



Fot. A. KONIAKOWSKI

kres wyników, a w przedłożonym materiale trudno było znaleźć elementy wymagające krytycznej oceny”.

Nie chcę mnożyć tych komplementów, ale dowodzą one, że wyrósł w naszym kraju zespół fachowców, którym można powierzyć sprawę kompleksowego rozwoju systemu wodnego rzeki Wisły. Nie przypadkiem tedy „Projekt Wisła” stał się jednym z głównych elementów sporządzonego w lipcu br. przez Ministerstwo Rolnictwa „Programu gospodarki wodnej na lata 1976—1980 oraz podstawowych kierunków jej rozwoju do 1990 roku”.

WIELOPRZESTRZENNE KOMPLEKSOWE INWESTYCJE

Projekt ministerialny zakłada, że zaspokojenie wzrastających potrzeb wodnych gospodarki narodowej przy pojawianiu się nowych deficytów wody oraz pogorszeniu jej jakości wymaga szybkiego, planowego zagospodarowania zasobów wodnych oraz realizacji wielkoprzestrzennych kompleksowych inwestycji służących do magazynowania i przerzutów wody. Z uwagi na zaległości inwestycyjne budownictwa wodnego niezbędne jest podjęcie działań już w latach 1976—1980 tak, aby zapewnić pełną synchronizację tworzonego nowych źródeł wód z rozwojem gospodarczym poszczególnych regionów w dalszej perspektywie.

Opracowany przez resort rolnictwa program rozwoju gospodarki wodnej rysuje konieczność budowy w przyszłości szeregu dalszych wielkich zbiorników retencyjnych, a także wskazuje na potrzebę zwiększenia zakresu budowy mniejszych zbiorników lokalnych, jednozadaniowych. Do 1990 r. powinno się w tych zbiornikach uzyskać ok. 20 proc. ogólnej ilości wody zbiornikowej. Niezależnie od tego rozwijana będzie mała retencja w lokalnych stawach, odbudowywanych młynówkach, akwe-

nach tworzonych przez małe śpiętna itp. Mała retencja, której znaczenie zostało jednak wyolbrzymione w niektórych publikacjach prasowych, może mieć jednak tylko charakter pomocniczy, jakkolwiek b. potrzebny.

Oprócz budowy wielkich zbiorników wodnych niezbędne będzie dokonywanie przerzutów wody w rejonach deficytowych. Przewiduje się w perspektywie do 1990 r. konieczność przerzutów wody w systemie Wisła-Bzura-Ner (zmodyfikowana wersja ist. Kanału Centralnego), Wisła-Wieprz i inne. Ważnym zadaniem jest również regulacja rzek i potoków oraz obwałowywanie dolin rzecznych. W latach 1976—1980 przewiduje się przeprowadzenie regulacji ok. 700 km rzeki i potoków, w tym na podkreślenie zasługuje regulacja Wisły od Oświęcimia do Sandomierza).

OSZCZĘDZĄC I CHRONIĆ

Problem, który dotąd nie znajdował się w centrum społecznej uwagi, jest sprawa oszczędnej wody i przeciwdziałanie postępującemu zanieczyszczaniu rzek i zbiorników wodnych. Jeżeli zważyć, że w 1980 r. z ogólnej ilości zużywanej przez gospodarkę narodową wody (29,2 km sześć), ponad 6 km sześć, zużytkuje się bezpowrotnie w procesach produkcyjnych rolnictwa i przemysłu, jasne się staje, że już dziś trzeba myśleć nad jak najbardziej racjonalnym gospodarowaniem zasobami wodnymi. Co to oznacza?

Oszczędne wykorzystywanie zasobów wodnych polegać musi np. w przemyśle na stosowaniu obiegów zamkniętych wody (szczególnie dla celów chłodniczych), przechodzeniu na procesy technologiczne mniej wodochłonne, większym wykorzystaniu wód kopalnianych i dotowych dla celów produkcyjnych, likwidacji nieuzasadnionych strat wody (przecieki,

zbędne parowanie) itp. Przetawienie myślowe przemysłu na oszczędne gospodarowanie wodą wymaga czasu, ale mniemać należy, że nowe prawo wodne (opłaty za pobór wody i zrzut ścieków) zmusi przemysł do liczenia się z wodą.

Osiągnięcie efektów, wynikających z realizacji programu podstawowego budownictwa wodnego, uwarunkowane jest równoległymi i odpowiednimi działaniami w zakresie ochrony wód przed zanieczyszczeniem. Zasadniczym elementem tych działań jest budowa nowych i modernizacja istniejących oczyszczalni ścieków. Z całego kompleksu spraw związanych z rozwojem gospodarki wodnej ten problem wciąż nie znajduje właściwego miejsca w praktyce gospodarczej. Budujemy wiele nowych zakładów przemysłowych, każdy z nich potrzebuje wody w mniejszej lub większej ilości. W naszej praktyce dziennikarskiej stykamy się często z przykładami, że dla inwestorów i wykonawców liczy się przede wszystkim moment przecięcia wstęgi. Na pytanie, czy gotowa jest oczyszczalnia ścieków, panuje na ogół wstydliwy milczenie, albo też wystuchujemy długiego referatu na temat obiektywnych trudności, braku wykonawców i rozwiązania „problemu ścieków” w bliżej nieokreślonej przyszłości.

W tym miejscu należałoby rozpoznać właściwie nowy artykuł na temat niefrasobliwości przemysłu i innych użytkowników wód, dopuszczających świadomie do zanieczyszczenia wód, powodujących ogromne straty społeczne (zwiększone koszty uzdatniania wód w zakładach wodociągów, przyspieszenie zużycia urządzeń, straty w zdrowiu konsumentów, pogarszanie się jakości produkcji w wyniku złej jakości wody itd. itd.). Z szacunków Ministerstwa Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska wynika, że obecnie straty wskutek zanieczyszczenia wód samą dorzecza Wisły wynoszą kilka miliardów rocznie...



W Dobczycach na Rable u podnóża Góry Zamkowej powstaje wielka zapor, która da początek zbiornikowi wodnemu (ok. 1000 ha)

Fot. S. ZUBCZEWSKI

KOMBAJNY Z „FAMURU”

LECH
FROELICH

KOMBAJNY z „Famuru”. Widziałem je na węglowych ścianach. Piotrowicka Fabryka Maszyn Górniczych im. J. Leńskiego „Famur” jest jedyną polską fabryką produkującą kombajny górnicze. Zajął się tym „tematem” przed trzydziestu laty. Chcieli dać górnikom wysoko wydajne narzędzie urabiania węgla, oszczędzające jego trud, zwiększające stopień bezpieczeństwa. Pierwsze rozwiązania były proste i z dzisiejszej perspektywy „słabe” — o mocy zaledwie 40 kW. Dziś — nie unikając w specyfikę technologiczną tych maszyn — kombajny z „Famuru” o mocy 270-400 kW są klasą światową.

Gdyby było ich więcej, można by je sprzedawać od ręki najbardziej wymagającym klientom. A w opracowaniu konstrukcyjnym są dalsze rozwiązania kombajnów dwuramieniowych o mocy dochodzącej do 500 kW. Taka maszyna postawiona na dobrym złożu — tu wiele zależy od geologii — potrafi w ciągu jednej doby urobić 7800 ton węgla (rekord w „Halenbie”). W praktyce, średnio, można przyjąć do 2 tysięcy ton na zmianę.

KOMBAJNY NA PRZYDZIAŁ

Kombajny węglowe są bilasowane i limitowane, poszczególne kopalnie otrzymują je „na sztuki”. W bieżącym roku fabryka piotrowicka dostarczy ich 169, w przyszłym 187. Te nie tak znów bardzo oszczędzające liczy nie ilustrują jednak faktycznego wzrostu produkcji. Bowiem z roku na rok w sposób istotny zmienia się struktura dostarczanych kombajnów. Zwiększa się udział maszyn ciężkich, kombajnów dwuramieniowych, których pracochłonność jest niemal dwukrotnie wyższa niż jednoramieniowych.

(Gdyby podobnie jak w przemyśle ciągników, gdzie stosowane jest pojęcie „traktora przeliczeniowego”,

wprowadzić tutaj pojęcie „przeliczeniowego kombajnu” produkcję roku przyszłego można by uznać za 330 kombajnów z roku 1968).

Zdolności produkcyjne fabryki są jednak ograniczone, zwłaszcza biorąc pod uwagę krótkie serie; kombajny produkowane są bowiem w kilku wariantach. Oglądałem hańs obróbki mechanicznej; nie miałem wyłączone automaty i półautomaty, obrabiarzy sterowane numerycznie — i od razu rozdzieliłem pytanie: czy wobec górniczego głodu na kombajny nie dałoby się wydłużyć serii, zmniejszając zarazem jednostkowe nakłady pracy (wahające się obecnie w granicach 2-3 tysięcy roboczogodzin zależnie od typu).

— Jesteśmy — powiada fachowiec z „Famuru” — jedną z trzech liczących się w Europie fabryk produkujących kombajny. Popyt na nie jest tak wielki, że wyroby produkowane w tym względzie firm zachodnioeuropejskich i amerykańskich są wyprzedane na dwa lata naprzód. Nasz eksport jest znikomy, wywiązujemy się z przyjętych zobowiązań zdając sobie sprawę, że każda wyeksportowana maszyna rzutuje negatywnie na wydobycie węgla w kraju.

Kierunkowym rozwiązaniem powinna być dalsza specjalizacja — obecnie w „Famurze” produkuje się np. poza kombajnami zębate przekładnie, co rozprasza zainteresowanie.

Drugim problemem, związanym z eksploatacją kombajnów są zagadnienia jakości, części zamiennych i serwisu. Kombajn jest drogim narzędziem, jest narzędziem ciężkim, ustawienie go na ścianie zanim się wgrzyzie w węgiel, wymaga wiele pracy. Rzecz więc w tym, by potem długo, bez przedstawiania, demontażu i napraw mógł pracować w cyklu całodobowym — pół roku a nawet rok. Między produkcją wyrobów gotowych a częścią zamiennych istnieje

nie raz już sygnalizowany i opisywany konflikt. Producenci bardziej są zainteresowani produkcją wyrobów finalnych niż elementów. „Famur” lansuje także „blokowe” rozwiązania konstrukcyjne, które pozwoliłyby w razie awarii dokonać naprawy kombajnu pod ziemią, dokonać wymiany uszkodzonego „bloku” w warsztatach na podziębii.

Inżynierowie „Famuru” pokazują mi w hali montażu kombajn KWB3 RDS o dwu ramionach uzbrojonych w dwa zębate grzyby pozwalające urabiać węgiel ze złoża o grubości 1,7-3 metry. Są prowadzone prace nad udoskonaleniem hydrauliki — według technologii brytyjskiej; pracuje się nad sterowaniem pracą kombajnu falami radiowymi, by odsunąć górnik od ociosu, by zwiększyć bezpieczeństwo, poprawić warunki pracy.

Może warto dodać — choć to będzie się dziać nie w Piotrowicach lecz w nowo zbudowanej fabryce w Tarnowskich Górach — że temu samemu celowi mają służyć zmechanizowane obudowy samokroczące. Nowa fabryka „Fazos” ma dostarczać 80 kompletów ścianowych rocznie i ok. 80 tysięcy stojaków hydraulicznych.

— Chcemy — powiada w „Famurze” — by to co polskie, znacząco doskonało.

Ale kombajnów jednak wciąż w kopalniach za mało.

MASZYNY DAJĄ WĘGIEL

Stan zasobów energetycznych znajduje swoje odbicie w bilansie paliwowo-energetycznym w kraju. Dominującą rolę, jak wiadomo, odgrywa w nim węgiel, którego udział w ogólnym zużyciu paliw pierwotnych wynosi ok. 80 proc.

Warto przypomnieć, że w roku 1974 górnictwo węgla kamiennego osiągnęło wydobycie 162 miliony ton,

co w stosunku do roku 1946 stanowi, 3,5-krotny wzrost wydobycia. W ten sposób zajęliśmy czwarte miejsce w światowym wydobyciu węgla. W okresie powojennym wybudowano 14 nowych kopalń oraz 41 kopalń zrekonstruowano i zmodernizowano.

O dynamice rozwoju polskiego górnictwa węgla kamiennego w okresie powojennym świadczy fakt, że jeśli na wydobycie pierwszego miliarda ton trzeba było 14 lat, to drugi miliard wydobyto w ciągu 9 lat, a trzeci miliard w ciągu 6 lat. Dotychczasowe roczne przyrosty wydobycia wynoszą w skali przemysłu węglowego ponad 5 milionów ton, a spodziewany w roku 1975 przyrost wyniesie ok. 8 milionów ton. Wyniki te osiągnięto dzięki wprowadzeniu nowoczesnej techniki eksploatacji, mechanizacji i koncentracji wydobycia. Nastąpiło zmniejszenie liczby przedkół eksploatacyjnych przy równoczesnym zwiększeniu wydobycia poszczególnych jednostek. O postępie koncentracji w ubiegłym piętnastolecu (1959-1974) mogą świadczyć następujące dane:

● średnie dzienne wydobycie jednej kopalni wzrosło z 4000 ton do 7760 ton, przy czym nowe kopalnie osiągały wydobycie 12-15 tys. ton na dobę;

● średnie dzienne wydobycie z jednego poziomu eksploatacyjnego wzrosło z 1844 ton do 3200 ton;

● średnie dzienne wydobycie przez jeden oddział eksploatacyjny kopalni wzrosło z 534 do 1134 ton, przy osiągnięciu maksymalnego wydobycia przekraczającego 8 tys. ton na dobę;

● średnie dzienne wydobycie z jednej ściany wzrosło z 251 ton do 678 ton, przy osiągnięciu maksymalnego wydobycia wynoszącego 4578 ton na dobę.

W ubiegłym piętnastolecu nastąpił równocześnie poważny wzrost (z 59 proc. do 87 proc.) wydobycia przy udziale najbardziej wydajnego systemu, jakim jest system ścianowy.

W roku 1974 syntetyczny wskaźnik mechanizacji robót, jakim jest wskaźnik mechanicznego wybierania, osiągnął wysoki poziom 92 proc. Obecnie prawie wszystkie ściany w kopalniach węgla kamiennego wyposażone są w kombajny lub strugi węglowe, a 88 proc. ścian wyposażonych jest w obudowę stalową. Na 129 ścianach (co stanowi 18,9 proc. wszystkich ścian węglowych) pracują zmechanizowane kompleksy, przy pomocy których uzyskuje się 27 proc. wydobycia.

Wysoka mechanizacja, a częściowo automatyzacja, procesów produkcyjnych przyniosła w efekcie wzrost wydajności pracy. W latach 1959-1974 wydajność pracy wzrosła o 1421 kg na roboczą dniówkę, osiągając pułap ok. 3,2 ton na roboczą dniówkę. Ten wzrost wydajności pracy pozwolił uzyskać całkowity przyrost wydobycia węgla w wysokości 63,3 miliona ton w ubiegłym piętnastolecu przy stałym poziomie zatrudnienia.

FEDROWAĆ GŁOWĄ I MASZYNĄ

Nad postępowaniem techniki górniczej „na węglu” pracuje w Polsce aż 25 placówek zaplecza, zatrudniających 11684 pracowników, w tym 850 pracowników naukowo-badawczych. Przy ich pomocy „kilofy i łopaty” dominujące w górnictwie węglowym w roku 1945 zamieniono na kombajny.

Pierwszy kombajn zastosowano w roku 1959, a w roku 1972 w naszych kopalniach pracowało już 601 kombajnów i 94 strugi — w większości produkcji polskiej. Szczególnie pomocy w pierwszej fazie mechanizacji udzielił polskiemu górnictwu Związek Radziecki, skąd m. in. importowano pierwsze kombajny. Zmechanizowano też drażenie chodników, w których czynnych jest ponad 180 chodnikowych zespołów wrębiaco-ladujących i ponad 600 ładowarek zasie-rzutowych. Urobek transportowany jest nowoczesnymi przenośnikami o dużej wydajności. Transport materiałów do przedkół ułatwia 480 kolejek podwieszonych.

Automatyzuje się coraz więcej różnych elementów procesu produkcyjnego. Szczególne znaczenie dla dal-

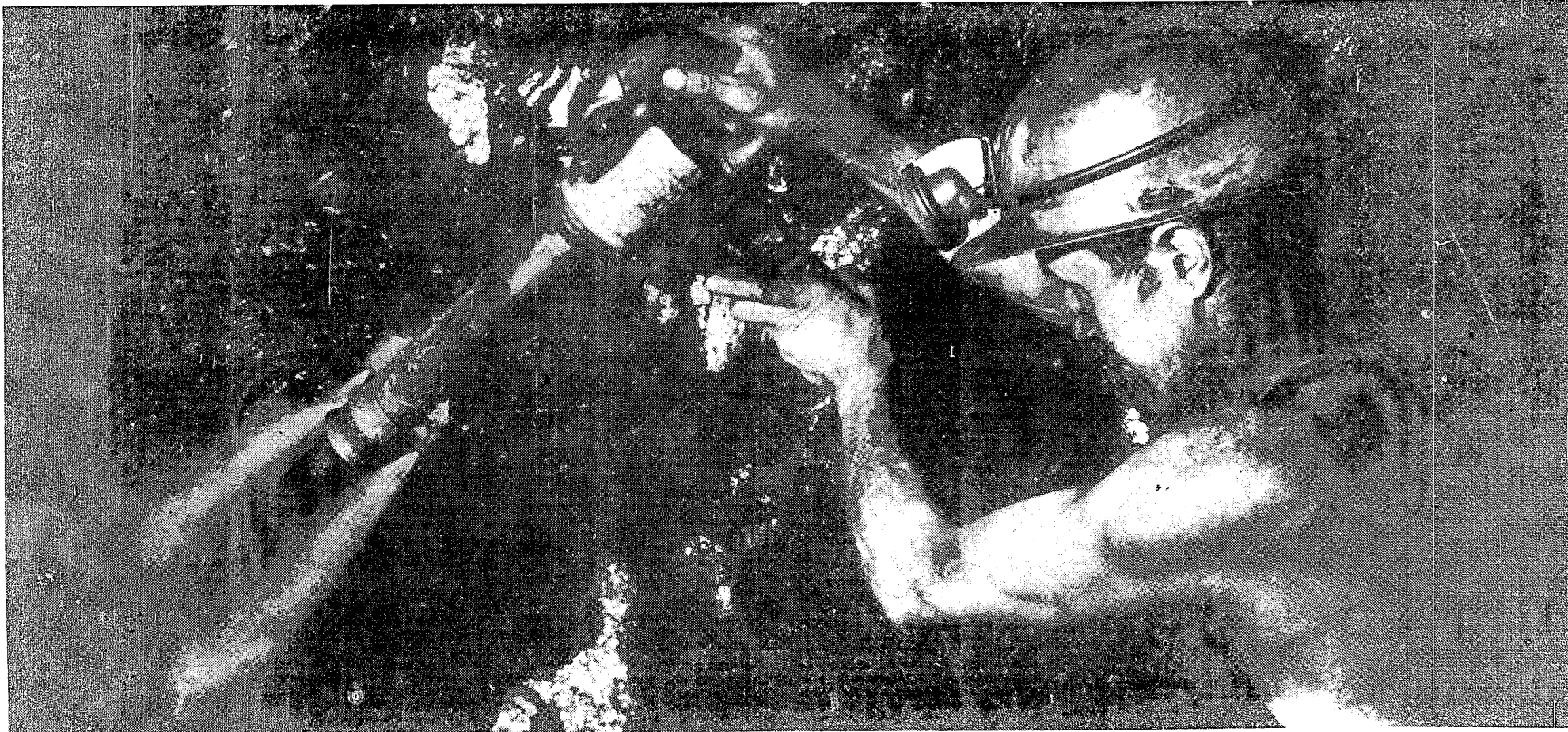
szego dynamicznego rozwoju postępu technicznego ma konstruowanie i budowanie zespołów maszyn funkcjonalnie ze sobą powiązanych, które eliminują prawie całkowicie ciężkie prace fizyczne. Zespoły te nazywano roboczo wybierkowymi zespołami ścianowymi lub „kompleksami mechanicznymi”. W ich skład wchodzi najnowocześniejsze maszyny polskiej produkcji: obudowy zmechanizowane OK-1 i KRAB-2, kombajny KWB-3DS, KDR-1, KWB3-RDS i KWB-5, strugi: SWS-4 i SWS-5, przenośniki zgrzeblowe: SAMSON-NP, SAMSON-SUPER i GROT oraz kolowroty KBH-3 i inne.

Produkcją tych maszyn i górniczego sprzętu zajmuje się Zjednoczenie Przemysłu Maszyn Górniczych „Polmag” dysponujące potencjałem 22 zakładów produkcyjnych (wachlarz dostaw jest niezwykle szeroki — pomijając wymienione już maszyny urabiające, przenośniki i ładowarki — od maszyn wyciągowych, pomp i wentylatorów po wiertarki, wiertła i lampy górnicze).

Perspektywy górnictwa wiążą się z rozwojem przemysłu maszyn górniczych. W bieżącej pięcioletniej winniśmy uzyskać w poszczególnych grupach maszyn górniczych następujące wzrosty produkcji: w zakresie kombajnów węglowych wzrost co najmniej o 80 proc.; w zakresie urządzeń wyciągowych o 150 proc.; w zakresie produkcji stojaków hydraulicznych o 800 proc.; obudów zmechanizowanych — o 600 proc.; ładowarek — o 50 proc.; maszyn i urządzeń do mechanicznej przeróbki węgla — o 50 proc. Wzrasta również znacznie produkcja różnego typu przenośników, pomp, sprzętu energetycznego i innych wyrobów potrzebnych wszystkim gałęziom górnictwa krajowego.

Poziom techniczny proponowanych rozwiązań jest wysoki.

Z punktu widzenia producenta, skok jaki dokonała branża jest niewątpliwie. Czy jednak to, co już dokonano, wystarczy, by zaspokoić potrzeby naszego górnictwa węglowego i nie tylko węglowego? Czy mając jako „specie od górnictwa” dobrą na świecie markę nie powinniśmy w zakresie tej specjalności śmiało wychodzić na zewnątrz — eksportować nie tylko myśl techniczną lub polskie technologie górnicze, lecz również sprzedawać sprzęt górniczy „made in Poland”?



Fot. ARCHIWUM

polemiki i dyskusje

KPINA Z EKOLOGII?

MARIAN MIŁKOWSKI

W WIELCE poczytnym i cenionym nie tylko przeze mnie „Z. G.” ukazał się artykuł p. Elżbiety Krawczyńskiej „Analiza nakładów na ekologię” (nr 42/1205, str. 8). Z treści rzecz wygląda na naukową ale z tytułu jest wręcz szokująca. Czymże bowiem jest ekologia? Autorka rozpoczęła publikację odwołania się na Marksa — ale czemu nie zdefiniowała właśnie ekologii?

Władysław Kopaliński w „Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” (WSP 1967), na str. 200, definiuje: „EKOLOGIA — dziedzina

biologii, badająca stosunki między organizmami i ich zespołami z ich środowiskiem i martwym środowiskiem. Greckie: oikos — dom, mieszkanie, gospodarstwo; logia — nauka”. Podobnie jest w „Leksykonie PWN” (1972), gdzie na str. 280 mówi się: „EKOLOGIA, nauka badająca organizmy w ich środowiskach (...), ich strukturę, funkcjonowanie, zmienność i wzajemne zależności na tle środowiska abiotycznego”. Z kolei najnowsza „Encyklopedia Powszechna PWN” t.1 (1973), na str. 679, mówi: „EKOLOGIA (gr), nauka biologiczna o gospodarce przyrody

w jej ekosystemach (...) Celem badań współczesnej ekologii, powiązanej wzajemnie z innymi naukami (...) jest wykrycie prawidłowości i praw rozwoju różnych ekosystemów (gl. ładowych) i jego kierunków oraz produktywności danego ekosystemu (...); badania ekologiczne mają podstawowe znaczenie (...); dla ochrony zasobów przyrody i ogólnie — naturalnego środowiska człowieka”.

Z dużym trudem odczytać można u Autorki, że chodzi jej o analizę przepływu między gospodarką a środowiskiem przyrodniczym. Czy to jednak jest ekologia?

Na początku stwierdza ona, że „problematyka ekologiczna pojawia się w rozważaniach ekonomistów jako rezultat procesów dokonujących się obecnie w świecie” — i dalej: „Badania nad problematyką ekologiczną podjęte zostały stosunkowo późno (...) Wiadomo dzisiaj, że najbardziej zaawansowani pod względem danych statystycznych są Włosi (...)”, następnie wymienia się jesz-

cze Japończyków i ZSRR, podaje także superrewelację godną opatentowania (tylko kto jest jej autorem?), że „jak okazuje się, popiół może mieć dalsze zastosowanie jako paliwo” lub że dopiero „w okresie zaostreżenia kryzysu energetycznego na jesieni 1973 r. W. Brytania odkryła, iż funkcję paliwa mogą pełnić również odpady papierowe, opakowania, śmiecie. I to wszystko ukazuje się na łamach „Z. G.”, które jest znane ze świetnych artykułów na ten temat. Dlaczego?

Kpina będzie obecnie, jeśli będę uczył studentów inaczej, a nie, że śmieć — to cenny surowiec, oczywiście po rozsegregowaniu, że normalnym postępowaniem nie jest wywózka śmieci na hałdę i tam ich palenie, lecz skierowanie części palnych do centralnych kotłowni ogrzewania komunalnego itd. itp. Obecnie np. w Wiedniu buduje się spalarnię śmieci będącą elementem pierwszej dziesiętowej zdalaczynnej ciepłowni miejskiej.

Ciekaw też jestem, na ile wywoady Autorki będą mniej rewelacyjne, gdy zapozna się z polską książką tłumaczoną z amerykańskiego: H.J. Barnett i Ch. Morse „Ekonomia zasobów naturalnych” (KIW—1968), z 6-stronicową wspaniałą przedmową prof. dr. Kazimierza Secomskiego, w której m. in. stwierdza on, że ta licząca 356 stron druku praca „nie ogranicza się do przedstawienia klasycznych założeń w dziedzinie teorii zwiększającej się szczytowości zasobów naturalnych i zmniejszających się przychodów. Zawiera ona również analizę późniejszych przekształceń teorii ekonomii w dziedzinie zasobów naturalnych (...) zastępują na podkreślenie interesujących wywoady autorów pracy, które mogą być z pożytkiem wykorzystane do bardziej prawidłowego ujmowania rachunku makroekonomicznego także w gospodarce socjalistycznej”. Słowa te prof. K. Secomski pisał we wrześniu 1967 r.

Charakterystyczne jest również, że w jednym z fundamentalnych dzieł zbiorowych PAN, zainicjowanych i zaplanowanych przez prof. Wł. Szafra i wydanych przez zespół pod kierunkiem prof. W. Michajłowa, pt. „Ochrona przyrodniczego środowiska człowieka” (PWN—1973), w rozdz. III. I powołuje się również na uwagi prof. K. Secomskiego do powyższego studium Amerykanów. Chcę przez to powiedzieć, iż p. E. Krawczyńska nie mogła, nie powinna przechodzić ponad pracami i dzielami u nas dostępnymi i powoływać się na bliżej nie określone źródła obce, do których czytelnik jej artykułu nie ma prawnie możliwości sięgnięcia i odczytania tych źródeł być może zupełnie inaczej.

W moim przekonaniu artykuł p. E. Krawczyńskiej, błędny już z tytułu, nie wnosi nic nowego ani do ekologii, ani do ekonomii. Może się mylić, jestem przecież technikiem.

BALAGAN WOKÓŁ BALII

ANDRZEJ NAŁĘCZ-JAWECKI

W poprzednim artykule — „Pierz babo sama!”, Ż.G. nr 46/74 — dokonałem porównania podaży z popytem na usługi pralnicze i porównania ze wskaźnikami zagranicznymi. Przeczytalem też opinie korzystających z usług pralni, ich krytyczne uwagi na temat poziomu tych usług. Na tej podstawie sformułowałem cierpki wniosek: zarówno rozmiar usług pralniczych, jak też ich standard są niedostateczne.

JEDNYM z podstawowych powodów niezadowalającej jakości usług jest niezaspokojenie stale wzrastających potrzeb pralniczych przez przemysł chemiczny. Po prostu ten ostatni nie podjął produkcji zróżnicowanych asortymentów środków do prania bielizny i czyszczenia garderoby. Ale tych podstawowych powodów jest znacznie więcej....

MASZYNY

Jednej z warszawskich pralni udało się sprowadzić angielskie pralnice-wirówki, przystosowane do automatycznego dozowania środków pralniczych. W pralnicach tych trzeba kąpiel zmieniać 7-9 razy. I za każdym razem dosypywać (właśnie automatycznie) różne ilości proszków. Ogładam jak obsługują się taki automat. Przede wszystkim cała elektronika do dozowania jest nie wykorzystana — karty programujące leżą bezużyteczne. Dlaczego? Bo nie ma proszków. Robotnik obsługujący automat ma wielki kubel, w którym ręcznie rozcieńcza maziastą pastę i dopiero po kilkakrotnym wlewniu zawartości kubia uruchamia pralnicę...

W zakładzie nr 2 spółdzielni „Alba” w Warszawie pierze się ok. 4 ton bielizny. Zatrudnionych jest tu: 4 pracowników obsługujących pralnice, 18 prasowaczek oraz 40 osób zajmujących się sortowaniem brudnej i czystej bielizny. Nawet laika zastanowi ta dysproporcja: 22 pracowników zajmujące się czynnościami związanymi z samym praniem, natomiast 40 osób wykonuje prace pomocnicze! Stosunek jak 1:2. Dlaczego?

Odpowiedź jest prosta: czynności pomocnicze prawie wcale nie są zmechanizowane. Zakład nie dysponuje dobrymi znakowarkami, które znakomicie ułatwiłyby sortowanie bielizny. Cała „Alba” (zaznaczmy — jest to jedna z najnowocześniejszych pralni w kraju) ma załadować dwie znakowarki produkcji NRD, a powinna dysponować co najmniej pięćdziesięcioma takimi urządzeniami.

Jeden z pracowników „Alby”: „Widzieliśmy w Czechosłowacji automaty sortujące bieliznę tuż przed prasowaniem. Produkuje je specjalistyczna firma, zajmująca się kompleksowo transportem wewnętrznym. Podejmuje się ona wykonywania — na obałunek — projektu, a następnie dostaw urządzeń rozwiązujących całkowicie transport wewnętrzny. Przemyśleliśmy się... za drogą. A ponadto nie możemy na serio myśleć o instalowaniu u nas transportu wewnętrznego bowiem mamy pomieszczenia o wysokościaledwie 4 metrów, a potrzebne są minimum 7 metrów”.

Idźmy dalej. Wymyślono sprytnie urządzenie — stół detaszerski — ułatwiający w dużym stopniu czyszczenie garderoby. Produkcji ich podjął się przemysł krajowy. W stole takim znajdują się pulweryzatory, pistolety do spryskiwania wodą, urządzenia do odsysania wilgoci itd. Chce taki stół obejrzeć. Okazuje się, że kobieta siedząca przy nim używa go jako zwykłej deski — żadne z urządzeń nie działa.

Jakość urządzeń pralniczych produkcji krajowej — to zdaniem przedstawicieli pralni — drugi z podstawowych kłopotów pralnictwa. Wytwarzaniem ich zajmuje się kilka małych fabryczek podporządkowanych — do niedawna — różnym wojewódzkim zjednoczeniom przemysłu terenowego. Przed dwoma laty włączono je do większego wyspecjalizowanego zjednoczenia przemysłowego. Jak na razie jakość wytwarzanych urządzeń nie podniosła się w stopniu dostatecznym.

W 1974 roku zakupiła „Alba” dwie pralnice-wirówki o ładowności 15 kg. Jedną z nich zainstalowano — w czerwcu br — w zakładzie przy ul. Pruszkowskiej. Już pierwszego dnia eksploatacji stanęła. Po naprawie powirowała trochę i znów awaria. Kilkunastokrotnie coś się psuło, aż w końcu pękła cała konstrukcja pralnicy. Producent wymienił więc całą konstrukcję (ile to kosztowało!). — Dział już dwa tygodnie, ale nadal nadmiernie się trzęsie, zaczyna... Drugiej pralnicy boją się w „Albie” uruchamiać. Nie ma się czemu dziwić, że po takich doświadczeniach — pralnia występuje do producenta pralni pieniędzy i zabranie z jej o zwrot takiej „klasy” urządzeń. W drugiej pralni — „Zjednoczenie” —

podobnie działały opisywane pralnice-wirówki.

— *Trwałność innych pralnic produkcji krajowej* — stwierdza prezes „Alby” mgr inż. Dariusz Saar — *jest bardzo krótka. Używamy je 2-3 lata, a potem muszą iść na złom. Producent jak gdyby nie wiedział, że używamy bardzo agresywnych, trujących środków piorących — lakieru z tych maszyn schodzą natychmiast, części rdzewieją. Ruchome części wykonane są niestannie — drą bieliznę.*

Wielu klientów żali się, że biała bielizna żółknie w pralni. Oto powód: fabryka z Bydgoszczy produkuje wadliwe urządzenia do zmękania wody. Urządzenia nie są niczym osłonięte — goła stal — i „zmękanina” w nich woda czasem jest aż czerwona od rdzy i manganu. „Alba” zakupiła dwa automaty do zmękania wody od NRF-owskiej firmy „Certus” — większość ich części wykonana jest z tworzyw sztucznych... — *Wyprodukowano zestawy do prasowania koszul* — kontynuuje mgr Saar — *metodą przemysłową, tzw. PK. Kto tylko to zakupił, natychmiast zwracał. Urządzenie to w ogóle nie chciało działać.*

W takiej sytuacji nie można się znów dziwić, że prezesi poszczególnych pralni domagają się importowanych maszyn i urządzeń. Gdy zamówień — na podstawowe, typowe maszyny — nabiera się jednak dość, wspomniane fabryczki dostają polecenie szybkiego podjęcia produkcji tych urządzeń co ma przeciwdziałać importowi i wydatkom dewizowym. Tymczasem wszystko, co robi się na chybiłkę, bardzo rzadko jest dobrej jakości.

— *„Efekt jest taki, że krajowy przemysł rozdrażnia się na wykonywanie zbyt dużej ilości typów maszyn i urządzeń, zawała jakość. I znów prezesi pralni wypisują całe listy, uzasadniające konieczność zainstalowania u nich urządzeń nietypowych, nie produkowanych w kraju. Co z kolei...”*

Istnie błędne koło. Prowizorka i brak jakiegokolwiek polityki.

INWESTYCJE

W ubiegłym roku odbyła się w Łodzi gigantyczna (ponad 500 uczestników) konferencja naukowo-techniczna na temat „Pralnictwo — 1973”. Zorganizowała ją Polskie Zrzeszenie Inżynierów i Techników Sanitarnych (PZITS). Mgr Bogusław ANTAS wygłosił na niej referat pt. „Niektóre problemy obsługi potrzeb pralniczych hoteli”. Zapoznajmy się z niektórymi jego stwierdzeniami.

W początkach 1972 roku było w całym kraju 524 hotele — dysponowały one 34 261 łózkami. Wymiana bielizny (wraz z gastronomiczną) w skali kraju: 103 tony dziennie. Rocznie więc dla hoteli trzeba było uprać ok. 31 000 ton bielizny.

Gdyby wszystkie hotele chciały oddawać bieliznę do uprzączenia pralni otwartych, pralnie te nie mogłyby uprać ani tony w ramach „usług dla ludności”. A na podstawie planów inwestycyjnych hotelarstwa szacuje się, że już w 1980 roku hotele w kraju będą miały do uprania ok. 80 tys. ton bielizny — dwukrotnie więcej niż w 1971 roku. Gdzie ją uprać?

— *Obserwując zaspokajające potrzeby hoteli na usługi pralnicze* — stwierdza Bogusław Antas — *trudno byłoby stwierdzić, że istnieje jakikolwiek przemysłowa organizacja. Sprawy te rozwiązywane są na zasadzie „jak kto może i gdzie kto może”. Oczywiście — praniem powinny zajmować się pralnie. Jednakże praktyka wykazuje, że każdy hotel chce mieć własną pralnię i to za wszelką cenę. Każde kierownictwo hotelu, który nie posiada własnej pralni, przeżyło nie jeden i nie dziesięć razy w roku niszamowite kłopoty z praniem. Tak więc nawet koncepcja zorganizowania pralni centralnej dla kilku hoteli nie znajduje zwolenników. A dodajmy, że stan techniczny pralni przyhotelowych jest więcej niż krytyczny, organizacja i wykonywanie tych usług prymitywne i nie-ekonomiczne.*

Zastanówmy się teraz, co będzie dalej. Hotele rosną jak grzyby po deszczu — i bardzo dobrze, nareszcie! Ale rosną też przy hotelach pralnie. Przeróżne. W Warszawie budowano jedną przyhotelową, do której zapominano zaprojektować „wytwarznicę” pary. W jednym z pół-

nocnych województw wybudowano nowy hotel i nową pralnię, dla której ciepło miało być uzyskiwane (w centrum miasta) z węglowej kotłowni...

Zalóżmy, że ok. 300 hoteli zechce zmodernizować istniejące bądź wybudować nowe pralnie. Kto im te pralnie zaprojektuje? Nie ma w kraju specjalistycznego biura projektów. Każdy z inwestorów będzie zlecał projekt przypadkowemu wykonawcy — z reguły niefachowcowi. A jakie maszyny zostaną sprowadzone do takich pralni?

Zalóżmy teraz, że nawet uda się wybudować owe 300 pralni. Kto je będzie obsługiwał? Jak będzie wyglądała fachowość prania? Tylko pozornie pranie jest łatwym zajęciem. A jakie będzie wykorzystanie parku maszynowego?

Przed kilkunastu laty powstał pomysł utworzenia pralni-giganta dla wszystkich hoteli warszawskich. Pralnia ta byłaby właścicielem wszelkiej bielizny używanej w tych hotelach (ok. 15 ton bielizny dziennie należałoby dla nich uprać). Miałaby ona pewną rezerwę czystej bielizny i pralaby w zasadzie „na własny magazyn”. Samochody przywożące brudną bieliznę zabierałyby od ręki bieliznę czystą. Praca pralni nie byłaby zakłócana arytmią dostaw — więc wykorzystywałaby swoje urządzenia w sposób ciągły. W hotelach mieliby z głowy magazynowanie, naprawianie itd. owej bielizny. Zważywszy też, że pralnia taka mogłaby być usytuowana poza miastem — obecne przyhotelowe, są zaś w centrum stolicy.

Przedni pomysł? Oczywiście. Tylko leży on w szaładzie. Nikt nie zdobył się na jego realizację. Ba, skoro nawet trzy hotele nie mogą dojść do porozumienia co do budowy wspólnej pralni, to jak mogły dogadać się wszystkie razem? Podobno stosowano argumentację typu: „Jakże to, pracować razem bieliznę-klientów „Bristolu” i „Polonii” czy „Domu Chłopa”? Na marginesie — każdy z tych hoteli podlegał innemu przedsiębiorstwu i innemu resortowi.

Pralnie dla hoteli to zaledwie częścią problemu. Pozostają żłobki i przedszkola, sanatoria i szpitale, cała gastronomia. Codziennie zbiera się też do uprania horrendalnie wysoka góra kombinizonów, fartuchów, spodni roboczych... Czy przy każdej fabryce, szpitalu itd., budować będziemy pralnię?

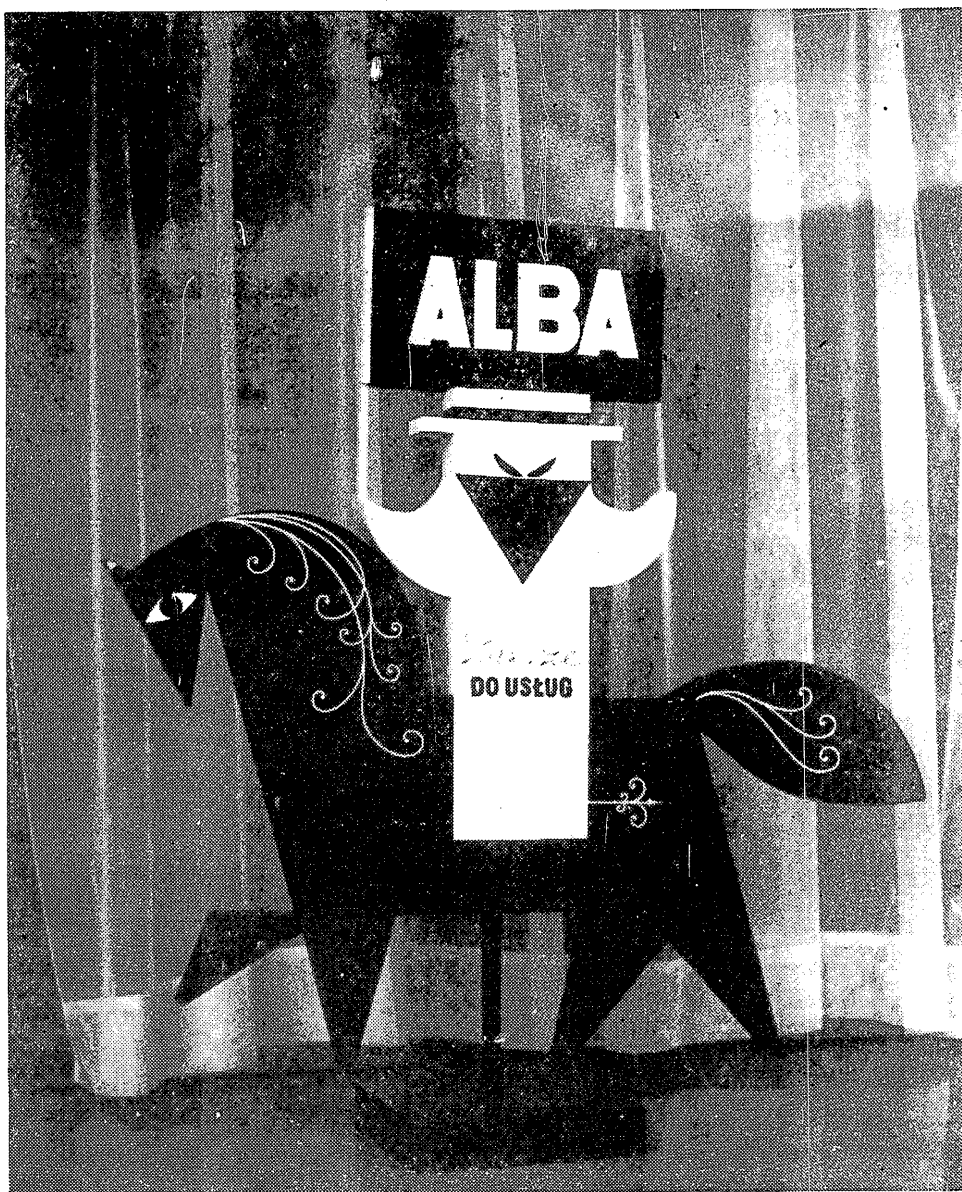
Nie odkrywam Ameryki rejestrując te wątpliwości. W uchwale wspomnianej Konferencji „Pralnictwo 1973” czytamy:

— *Występowało tolerowanie i umożliwianie jednostkom gospodarczym tworzenia licznych małych placówek pralniczych, przeznaczonych do obsługi ich własnych potrzeb. W tych warunkach technika pralnicza przeważająca część potencjału pralnictwa ograniczała się do poziomu niewiele ponad rzemieślniczy, brak było warunków należytego wykorzystania kadr fachowych, brak było również impulsów rozwoju krajowego przemysłu maszyn pralniczych, dominowały czynniki ograniczające postęp techniczny i efektywność inwestowania. W wyniku... pralnictwo wykazuje obecnie olbrzymią dezintegrację pod względem zależności organizacyjnej oraz olbrzymie rozdrobnienie technicznej bazy usługowej... Powinny być podejmowane stosowne kroki dla ograniczenia niepożądanego przyrostu małych, nieekonomicznych i technicznie przestarzałych pralni, zarówno ogólnie dostępnych, jak i zamkniętych.*

Postulat tworzenia dużych pralni zamkniętych jest najzupełniej słuszny. Prano by w nich wyłącznie dla instytucji. Tak, tylko kto ma się tym zająć?

O ile w kwestii inwestowania i organizacji pralnictwa zamkniętego wiadomo przynajmniej do czego dążyć (choć się tego nie realizuje), to w sprawie opierania indywidualnych obywateli, nie wiadomo nawet czego się trzymać.

Szacuje się — nikt tego nie jest w stanie policzyć dokładnie — że wybudowano w kraju około 100 tysięcy pralni blokowych w blokach i domach mieszkalnych. Oszacowano też, że w takiej małej pralni



Szlachetne w intencjach hasło „zawsze do usług” jest tylko czerą deklaracją, podobnie jak olbrzymie napisy na pralniczych samochodach: „Pierzemy wszystko”. Rzeczywistość jest inna... Fot. S. ZUBCZEWSKI

(piwnicznej bądź strychowej) pierze się rocznie ok. 2,5 tony bielizny.

W Warszawie postanowiono zbadać dokładnie, co dzieje się w tych blokowych pralnicach. Było ich ponoć 1125. Kontrola wykazała, że około 90 — 95 proc. (zależnie od dzielnicy) tych „pralni” służyło jako: przechowywanie wózków dziecięcych, wytwórnie nielegalne wózków gazowanych bądź po prostu bimbru, miejsce schadzek dla młodzieży z tzw. marginesu społecznego, „salony” dla najniższego sortu prostytutek, składy opału itd.

Marnował się pokaźny majątek. Przecież trzeba było te pralnie blokowe wyposażać w 100 tys. pralnic. Czyżbyśmy byli tak bogaci? Jakże były przyczyny tego marnotrawstwa?

Inwestorami tych pralni były przeróżne spółdzielnie mieszkaniowe, poszczególne ADM, komitety mieszkańców itd. Nikt z tych inwestorów nie miał nigdy z pralnictwem nic wspólnego. Część pralni była zaraz po uruchomieniu niesprawną. Znaczna część urządzeń zdezastrowali sami użytkownicy — niefachowcy przeciwieście od pralnic i ich konserwacji. Spółdzielnie mieszkaniowe z reguły nie interesowały się — po oddaniu — losem tych pralni. Tylko w dwóch przypadkach użytkownicy zrobili „składkę” na opłacenie fachowca, który opiekował się pralnią. Z reguły obarczano tym obowiązkiem domowców. W rezultacie znaczną część domowych pralni nakazał zamknąć Sanepid.

— *Można by utworzyć ok. 50 tys. pralni* — proponuje na wspomnianej konferencji dr Zdzisław Chodorowski — *wyposażonych w odpowiednie urządzenia (pralnice-wirówki i wirowarki o ładowności 3,5-4 kg, suszarki, magły elektryczne). Średni koszt wyposażenia takiej pralni szacuje się na ok. 100 tys. zł, łącznie potrzeba by więc na ten cel ok. 4 mld złotych.*

Czy możemy ryzykować owe cztery miliardy na budowę pralni blokowych? Czyli takich bez gospodarza, bez fachowej obsługi, w ogóle bez nadzoru?

A może budować nieco większe pralnie osiedlowe? Samoobsługowe? Lecz czy są potrzebne do tego maszyny i urządzenia? Może trzeba byłoby je importować? Czy pomysł jest w ogóle realny?

Gdy tak trochę tylko postudlowałem problemy pralnictwa, boję się cokolwiek proponować bądź opowiadać się za jakimkolwiek systemem

opierania ludności. Za obowiązek swój uważam jednak publiczne postawienie pytania: czy ktokolwiek ma w tej sprawie jakąkolwiek koncepcję, udokumentowaną, częściowo zweryfikowaną, realną?

W POSZUKIWANIU KONCEPCJI

Próbowałem takiej osoby lub instytucji poszukać. W cytowanej już uchwale konferencji „Pralnictwo — 1973” stwierdza się:

— *„W wielu krajach socjalistycznych, niezależnie od poziomu wyjściowego, dynamika rozwoju pralnictwa i osiągniętych stopień obsługi potrzeb społeczeństwa i gospodarki przez pralnictwo zorganizowane znacznie przekraczają wskaźniki notowane u nas. (Na 1 punkt zleceń przypada w NRD 1 800 mieszkańców, w CSRS — 2 500, w PRL — aż 8 200 mieszkańców). Przyczyną takiego stanu jest, po części brak w naszym kraju dłuższych tradycji przemysłowych form pralnictwa... żywiołowy i partykularny rozwój potencjału pralnictwa wynikający z braku jednolitej KONCEPCJI zorganizowanej obsługi potrzeb ludności i jednostek gospodarczych”*

Mamy więc stwierdzenie, że koncepcji nie ma, ale próby choćby jej zarysu — jakoś nie widać. A więc szukajmy dalej.

Weźmy np. jakiejś województwo. Wszystkie pralnie na jego terenie podlegają urzędowi wojewódzkiemu. Z kieszy tego urzędu płyną pieniądze na rozbudowę czy budowę nowej pralni podporządkowanej ppt.

Czy przypadkowy z reguły zespół działu usług (n.b. kilkudziesięciu rodzajów) może fachowo ocenić realizację inwestycji pralniczych, celowość zakupu maszyn? Czy jest w stanie ocenić to dyrekcja (znów kilkunastobranżowego) zjednoczenia przedsiębiorstw państwowego przemysłu terenowego?

Większość pralni otwartych prowadzi teraz spółdzielczość pracy. Wojewódzki związek spółdzielni pracy też jest instytucją wielobranżową. Czy może wymyślić model pralnictwa? Raczej nie. Kogo się radzić? Może swojej centrali — CZSP? Jak się dowiedziałem, w CZSP nie zatrudnia się ani jednego specjalisty od sprawy pralnictwa.

Z trudem udało mi się dowiedzieć o istnieniu Zakładu Badawczego Pralnictwa. Do niedawna funkcjonował on w Instytucie Gospodarki Komunalnej. Gdy resort ten prze-

każal pralnictwo pod pieczę MHWIU, ZBP przeszedł również do jednego z resortowych ośrodków badawczych tego resortu. Może więc w ZBP opracowano jakąś koncepcję rozwoju pralnictwa? Może tam ktoś ma własne zdanie i cywilną odwagę oceny sytuacji? Kierowniczka Zakładu Badawczego Pralnictwa zastrzegła się — przed umówieniem się ze mną na rozmowę — że wszystkie wypowiedzi będąmi musieli uzgodnić z... radcą prasowym MHWIU. Ot i skończyło się poszukiwanie w tym rewirze samodzielných koncepcji czy nawet sądów.

Przenieśmy się wreszcie na szczebel rządowy. Koordynatorem pralnictwa jest obecnie Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług. Dajcie się to — od bardzo niedawna — a więc na razie nie można obciążać tego resortu odpowiedzialnością za cały ów pralniczy kram. A czy można mieć nadzieję, że resort ten się z nim upora? Trudno to przesądzać negatywnie, ale trudno też oprzeć się uwadze, że Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług ma zadania tak bardzo już rozległe, że zaczyna przypominać przysłowiowego wielbłąda, na którego nakłada się wszystkie ciężary, z którymi inni nie mogli się uporać.

Samo zresztą wymyślenie stosownej dla nas koncepcji pralnictwa nie wymaga chyba tak gigantycznego wysiłku umysłowego, jakby to wynikało z przedstawionej tu, wieloletniej historii jej poszukiwań. W końcu tyle krajów na świecie bardziej i mniej rozwiniętych, socjalistycznych i kapitalistycznych — rozwiązało już ten problem szczęśliwie; my możemy teraz po prostu skopiować jedno, czy dwa wybrane rozwiązania.

Trudniejszą kwestią będzie wyegzekwowanie od współuczestników opracowanego programu — władz terenowych, hotelarstwa, służby zdrowia, zakładów przemysłowych (pranie odzieży roboczej), chemii, producentów maszyn potrzebnych zakładom pralniczym — realizacji obowiązków wynikających dla nich z tego programu.

To właśnie zadanie może przerażać, jak wynika to z doświadczeń poprzedniego koordynatora — Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, siły jednego resortu, powinno więc być poparte autorytetem o randze wyższej niż resortowa. Rzecz jest pilna, gdyż wieloletni balagan wokół balii zaczyna być już sprawą cokolwiek wstydlivą.

DALEKA DROGA Z INSTYTUTU DO FABRYKI

TADEUSZ PODWYSOCKI

Zasada: lekarzu, lecz się sam — znajduje pełne uzasadnienie, jeśli wglębimy się w geografie naszej rodzimej nauki. Rozmieszczenie przestrzenne placówek naukowo-badawczych i wyższych uczelni jest, co prawda, adekwatne do rozwoju i stanu obecnego sieci osadniczej kraju, ale jeśli idzie o strukturę terenową sił wytwórczych, to trudno się doszukać współzależności. Przez całe dziesięciolecie nauka rozwijała się w Polsce bez ścisłego związku ze specjalizacją gospodarczą regionów i makroregionów.

Czyli — ośrodki naukowo-badawcze i rozwojowe w poszczególnych regionach kraju nie były czynnikiem dynamizującym postęp i przekształcenia strukturalne w aglomeracjach miejsko-przemysłowych w takim stopniu, jakby tego należało oczekiwać.

MOŻNA BY przytoczyć wiele przykładów niezgodnej z rzeczywistymi potrzebami regionów lokalizacji placówek naukowo-badawczych. W Warszawie działa Instytut Przemysłu Mleczarskiego, jakby Marszałkowska czy też Aleje Jerozolimskie stanowiły naturalne zaplecze dla produkcji mleka i serów. Chyba, że źródłem wiedzy mają być bary mleczne... Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN ma oczywiście swą siedzibę w Stolicy, gdy na dobrą sprawę dawno już powinien znaleźć dla siebie miejsce w okolicach Poznania, Lublina czy Zielonej Góry. Aby było dalej do fabryk chemicznych, rozwinięto w Stolicy Instytut Przemysłu Gumowego „Stomil”, czy też Instytut Przemysłu Organicznego.

Plan przestrzennego zagospodarowania Polski do 1990 r. jest stosowną okazją, aby urzeczywistnić koncepcję właściwego rozwoju aglomeracji, a więc skoncentrowania nie tylko potencjału produkcyjnego, ale także związanego z nim — zaplecza naukowo-badawczego o zdefiniowanym charakterze prac.

Uznaliśmy potrzebę intensywnego rozwoju nie kilku centrów gospodarczych i naukowych, ale wielu ośrodków — zgodnie z dewizą promieniowania postępu technicznym i cywilizacyjnym. Życie gospodarcze będzie się przede wszystkim koncentrowało w 20–25 aglomeracjach. Spośród nich 10 już się znacznie rozwinęło, a dalszych 7 kształtuje obecnie. Pozostałe powstaną do 1990 r.

KANWA DLA INFRASTRUKTURY SPOŁECZNEJ

Wychodzi się obecnie z założenia, że koncepcje i programy przestrzennego rozwoju przemysłu i rolnictwa, a w tym dotyczące rozwoju aglomeracji miejsko-przemysłowych powinny stanowić kanwę dla tworzenia infrastruktury społecznej, a w niej organizmu nauki.

Stworzenie właściwej dla kraju struktury przestrzennej potencjału naukowo-badawczego jest przedsięwzięciem ogromnie trudnym, złożonym. Niezbędny będzie wieloletni i systematyczny wysiłek, aby doprowadzić do sytuacji, że lokalizacja placówek badawczych poczyni odpowiadającą rozmieszczeniu sił wytwórczych.

Odpowiedź na pytanie: dlaczego nauka wciąż jest niedostatecznie związana z życiem gospodarczym kraju, można znaleźć częściowo w jej wadliwym przestrzennym rozmieszczeniu.

Sytuacja jest tego rodzaju, że stołeczny region koncentruje obecnie blisko 30 proc. całego krajowego zatrudnienia w placówkach naukowo-badawczych i rozwojowych oraz w szkołach wyższych. Przy tym ok. 35 proc. osób z wyższym wykształceniem, a pracujących w placówkach naukowo-badawczych i rozwojowych, zgromadziło w Warszawie. Oczywiście, śladem tak ogromnej koncentracji kadry idzie odpowiednio wysoka stopa nakładów inwestycyjnych. Warszawska aglomeracja „połknęła” np. w 1972 r. blisko 36 proc. całości nakładów inwestycyjnych, a w tym przeznaczonych na aparaturę naukowo-badawczą, w placówkach badawczych i rozwojowych.

Anachronizmem jest, że w stołecznym regionie znalazło się ponad 45 proc. całej krajowej aparatury naukowo-badawczej (licząc wartościowo). Na początku roku ubiegłego wartość aparatury naukowo-badaw-

czej w placówkach stołecznych wyniosła 209,4 tys. zł w przeliczeniu na jednego pracownika z wyższym wykształceniem. Warto owe dane porównać z informacjami o miejscu gospodarki regionu warszawskiego w kraju.

Otóż na mapie gospodarczej Polski przemysł stołecznej aglomeracji miał w 1970 r. swój 9,5 proc. udział w ogólnym zatrudnieniu, a jeśli idzie o osoby z wyższym wykształceniem, to pracowało ich tutaj ok. 16 proc. Stołeczna aglomeracja partycypuje ponad 11 proc. w produkcji globalnej kraju (wartościowo), a udział w nakładach inwestycyjnych przemysłu uśrednionego stanowił ok. 10 proc.

Przy tym w Warszawie występuje dość znamienne zjawisko. Przemysł, gospodarka aglomeracji nie jest w pełni zaspokojana przez tak znaczny i ogromnie skoncentrowany potencjał badawczy i rozwojowy. Jest to zrozumiałe, jeśli zdamy sobie sprawę z faktu, że duża część placówek nie ma nic wspólnego z charakterem nawet nadregionalnym Warszawy. Tutejszy przemysł środków automatyzacji, elektronicznej czy elektromaszynowej nie może skorzystać z współpracy np. Instytutu Genetyki i Hodowli Zwierząt PAN lub Instytutu Badawczego Leśnictwa. Prace Instytutu Ekonomiki Rolnej mają się tak do potrzeb badawczych huty „Warszawa” jak piasek do nosa.

Region kielecki urosł nam na przełomie i nowoczesny ośrodek przemysłu elektromaszynowego. Jest to jednak przykład jakże ogromnego niedorozwoju infrastruktury. Placówki badawcze i rozwojowe oraz uczelnie kieleckie zatrudniają mniej niż 2 proc. ogółu osób parających się nauką w kraju, a udział ludzi z wyższym wykształceniem nie przekracza 1,6 proc.

Tymczasem przemysł kielecki zatrudniał już w 1970 r. blisko 5 proc. ogółu pracujących w tej sferze. Udział produkcji globalnej (wartościowo) tego regionu sięgał 4,3 proc., a nakłady inwestycyjne przypadające na rozwój kieleckiego przemysłu przekroczyły 5 proc. ogólnych środków przeznaczanych na krajowe inwestycje.

O tym, jak wciąż mało skutecznie wiąże się rozwój gospodarczy regionu z rozwojem potencjału badawczego i rozwojowego oraz dydaktycznego, niech świadczy fakt, że udział kieleckiej nauki w ogólnych nakładach inwestycyjnych w skali kraju wynosił nie więcej niż... 0,6 proc. środków przeznaczanych m.in. na wyposażenie placówek. Wartość aparatury naukowo-badawczej w regionie kieleckim sięga 0,4 proc. tego, co mamy w kraju. Czyli dosłownie o takiej struktury przestrzennej nauki, że jeśli nakłady inwestycyjne w przeliczeniu na 1 pracownika placówki badawczej i rozwojowej wynoszą w Warszawie — 14,6 tys. zł to już w Krakowie 12,2 tys. zł, we Wrocławiu jeszcze mniej — 8,7 tys. zł, a już w Kielcach zaledwie 4,2 tys. zł.

Region kielecki nie jest wyjątkiem w wadliwym rozmieszczeniu potencjału naukowo-badawczego kraju. Trzeba przypomnieć, że również Rzeszowszczyzna stała się miejscem rozwoju naprawdę nowoczesnego przemysłu elektromaszynowego. Jednakże i tutaj tym przemianom nie towarzyszył i w dalszym ciągu nie pomaga własny odpowiednio rozwinięty ośrodek nauki. Wystarczy przypomnieć, że Rzeszowszczyzna ma tylko 2,9 proc. udział w krajowym za-

trudnieniu, jeśli idzie o placówki badawcze, rozwojowe i szkoły wyższe. Przy tym udział osób z wyższym wykształceniem sięga zaledwie 2,4 proc.

Dysproporcje w rozmieszczeniu potencjału naukowo-badawczego i rozwojowego są tak głębokie, że realizacja koncepcji umiarkowanej, policentrycznej koncentracji rozwoju gospodarczego Polski do 1990 r. wymaga dodatkowych znacznych wysiłków.

POTENCJAŁ — ALE JAKI?

PAN posiadał w 1973 r. 26 instytutów naukowo-badawczych, 37 zakładów i placówek oraz Centrum Obliczeniowe. Placówki PAN zatrudniały ponad 10 tys. pracowników, a w tym 3 tys. naukowców. Akademia ma także 3 oddziały terenowe: w Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu. Stworzone Centrum Badawcze na Śląsku.

Jeśli chodzi o zaplecze naukowo-badawcze i rozwojowe gospodarki narodowej, to w 1973 r. było w Polsce 112 instytutów resortowych, 25 centralnych laboratoriów, 103 ośrodki badawczo-rozwojowe, około 650 wyodrębnionych placówek, blisko 1000 zakładowych placówek rozwojowych i laboratoriów badawczych. Owo zaplecze badawcze gospodarki krajowej zatrudnia ogółem ok. 250 tys. osób.

W roku 1974 prowadzi działalność dydaktyczną w Polsce 89 wyższych uczelni, w tym m.in. 16 uniwersytetów i wyższych szkół ekonomicznych, 18 uczelni technicznych, 12 szkół pedagogicznych i nauczycielskich, 10 akademii medycznych oraz 16 szkół artystycznych. Proces kształcenia w wyższych uczelniach spoczywa w rękach ponad 41 tys. nauczycieli akademickich, a w tym ponad 730 profesorów, 1550 docentów, 4870 adiunktów, 16,4 tys. starszych asystentów i asystentów.

Szkolnictwo wyższe jest stosunkowo najlepiej wkomponowane w strukturę przestrzenną kraju. Rozmieszczenie terytorialne uczelni zostało częściowo podporządkowane szerszemu dążeniu do zaspokojenia potrzeb regionów. Aktualnie w każdym województwie działają co najmniej 2 wyższe uczelnie. Przy tym jedna jest humanistyczna, a druga techniczna. Sieć uczelni jest uzupełniona przez 14 filii, z których 7 należy do politechnik.

Takie ośrodki akademickie, jak warszawski, krakowski, wrocławski czy poznański, pełnią funkcje ogólnokrajowe, oddziałują na całą Polskę. W tych 4 głównych ośrodkach uczelnianych koncentruje się aż 40 wyższych szkół, czyli blisko połowa. Wydaje się słuszne i celowe, aby promieniującymi szerzej ośrodkami akademickimi stały się także Gdańsk, Szczecin i Lublin. Wówczas oddziaływanie ponadregionalne ośrodków akademickich skuteczniej obejmie cały kraj.

Można zrozumieć Akademię Nauk, że 23 instytuty zlokalizowała w Stolicy. Badania podstawowe, teoretyczne udaje się prowadzić z dala od praktyki, a po drugie placówki PAN mają zakres ogólnokrajowy. Jednakże trudno usprawiedliwiać sytuację, że wszystkie placówki resortu gospodarki terenowej i ochrony środowiska znajdują się w Stolicy; jakby np. Instytutu Ochrony Środowiska (utworzony — uwaga! — w 1973 r.) nie można było ulokować w Katowicach czy Krakowie, bliżej pyłów, dymów i najbardziej intensywnego hałasu i zapylenia wielkoprzemysłowego.

Także wszystkie instytuty Ministerstwa Komunikacji znajdują się w Warszawie. Należałoby sądzić, że badania nad młodzieżą, problemy edukacji, nauczycieli, pedagogiki specjalnej, czy też kształcenia zawodowego nie można prowadzić poza stołecznymi rogatkami. Tak przynajmniej sugeruje struktura przestrzennego rozmieszczenia placówek resortu oświaty, gdyż wszystkie instytuty znalazły się w Warszawie.

Okazuje się, że jednak dla instytutów resortowych może być miejsce poza murami Stolicy. Świadczy o tym najbardziej cennie rozmieszczona sieć instytutów przemysłu ciężkiego. Ani jeden z instytutów Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego nie został wciśnięty w stołeczne opłotki. Znalazły się owe placówki w Gliwicach, Zabrze, Krakowie i Łodzi. Służą doskonale nauce krajowej i regionom przemysłowym.

Najbardziej wadliwa przestrzenna struktura zaplecza resortowego występuje w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego i Skupu. Jeden tylko instytut — przemysłu zielarskiego — pracuje w Poznaniu. Wszystkie pozostałe, zajmujące się problemami badawczymi przemysłu cukrowniczego, fermentacyjnego, mięsnego i tłuszczowego, działają w War-

szawie, jakby tutaj było najwięcej cukrowni, gorzelni, masarni...

DLACZEGO TAK JEST?

Na powstałe dysproporcje w rozmieszczeniu przestrzennym potencjału badawczego i rozwojowego złożyło się wiele przyczyn. Przede wszystkim kadra naukowa, a także i techniczna, została zgromadzona przede wszystkim w dużych miastach akademickich. Proces koncentracji uprawnień, planowania i zarządzania w Stolicy stworzył w latach ubiegłych zły obyczaj, że to wszystko, co ma służyć sprawom nauki i badań w skali kraju, musi egzystować w Warszawie. Oczywiście, nie można bagatelizować nacisku specjalistów, którzy starali się, aby placówki powstawały i rozwijały się w środowiskach wielkomiejskich. Władze nie brały przy tym pod uwagę konieczności przestrzegania współzależności między rozmieszczeniem sił wytwórczych i potencjału badawczo-rozwojowego. Dopiero obecnie, przy konstruowaniu programu przestrzennego zagospodarowania kraju, poczęto zwracać uwagę na potrzebę korektury w wadliwym rozmieszczeniu instytucji naukowych.

Jednakże nawet w ostatnich dwóch latach nie udało się osiągnąć wyraźniejszych postępów w rozmieszczeniu kadr naukowych zgodnie z potrzebami, nie ma wciąż dostatecznego przepływu naukowców, wysokiej klasy specjalistów do ośrodków słabszych, do zaplecza badawczego gospodarki w tzw. „terenach”.

W jakim kierunku powinny iść przekształcenia struktury przestrzennej nauki? Celem stało się utworzenie ośrodków naukowo-badawczych o znaczeniu ogólnokrajowym. Zamierza się doprowadzić do tego, aby jeszcze przed rokiem 1990 obok Warszawy, Krakowa, Wrocławia czy Poznania utworzone zostały ponadregionalne centra, ośrodki naukowe w Katowicach (GOP), Gdańsku, Łodzi, Szczecinie i Lublinie. Jednakże rozwój tych dużych ośrodków badawczych, naukowych ma być dostosowany do specyfiki gospodarczej macierzystych regionów. Aby o wyhodowaniu wysoko mlecznych krow nie dyskutowano w laboratoriach badawczych Warszawy, ale w okolicy Poznania lub Lublina.

Przy tym ośrodki ogólnokrajowe mają służyć nie tylko rozwojowi nauki, ale także postępowi technicznemu, zwiększeniu i unowocześnieniu produkcji. Nie można tego robić będąc wyłącznie „na delegacji służbowej”, ale żyjąc i pracując w bezpośrednim sąsiedztwie przemysłu.

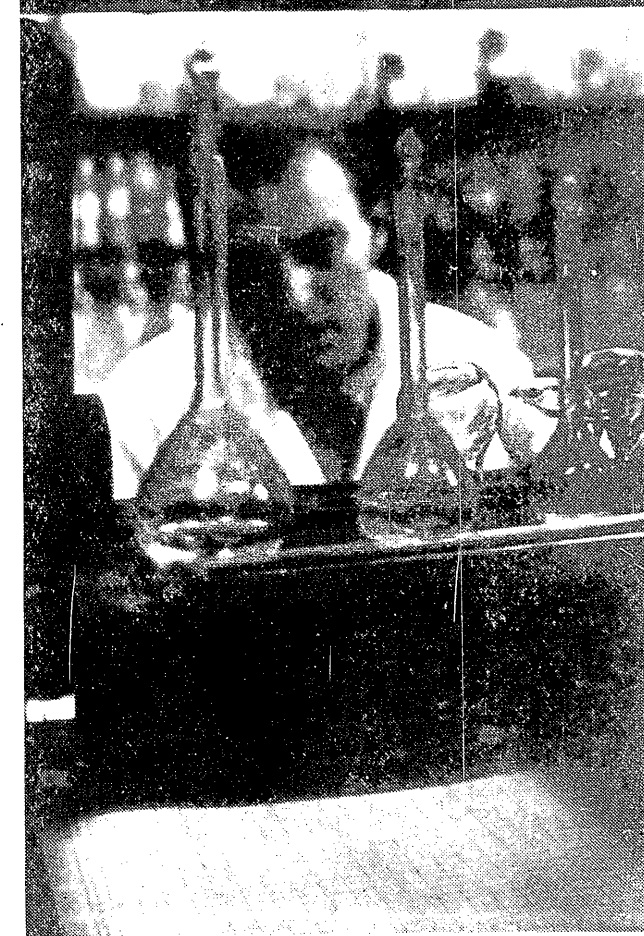
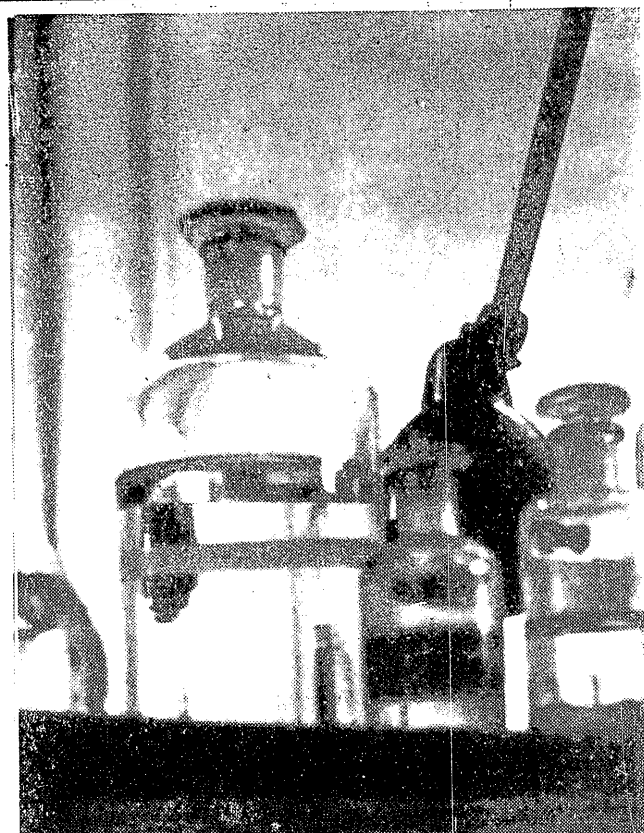
Nie wszystkie ośrodki muszą i powinny mieć rangę ogólnokrajową. Potrzebne są także ośrodki o zasięgu i znaczeniu regionalnym. Stąd i postulat bardziej dynamicznego rozwoju ośrodków naukowo-badawczych w regionie rzeszowskim, kieleckim, kosiński, olsztyńskim, białostockim, czy zielonogórskim.

Chodzi także o właściwe rozmieszczenie potencjału naukowo-badawczego w ośrodkach o znaczeniu lokalnym, a więc w takich miastach jak Bielsko-Biala, Tarnobrzeg, Puławy i Płock, Częstochowa. W badaniach i pracach nad przyszłą siecią przestrzenną placówek naukowych i rozwojowych bierze się pod uwagę postępującą urbanizację i industrializację w 17 aglomeracjach miejsko-przemysłowych kraju.

Przyszłe zmodyfikowane rozmieszczenie placówek badawczych i rozwojowych ma uwzględnić wielofunkcyjny model nauki w każdym ośrodku regionalnym, a więc daleko idącą integrację nauki, techniki, szkolnictwa wyższego z gospodarką aglomeracji. W ten sposób nawet małe ośrodki nauki, ale silnie związane z określonymi dziedzinami gospodarki, mające władzę badania, dorobek naukowy, kadre na wysokim poziomie — mogą uzyskać znaczenie ogólnokrajowe.

Idea przestrzennego rozmieszczenia nauki, zgodnie z zasadą optymalizacji potencjału badawczego i rozwojowego nie sprowadza się jedynie do tego, aby rozwój regionalnych ośrodków, placówek był na siłę nagięty do kierunków specjalizacji gospodarczej. Chodzi także o to, żeby ów kierunek specjalizacji regionu zarażem wynikał z istniejącego już stanu badań, dorobku zaplecza, jego możliwości, rozwoju uczelni.

Efektywność badań, wykorzystanie rezultatów nauki zależy nie tylko od wielkości potencjału w tej dziedzinie i środków stymulujących zbliżenie do praktyki gospodarczej. Także struktura przestrzenna, rozmieszczenie placówek i wyższych uczelni na mapie kraju ma tutaj istotne znaczenie. Jeśli bowiem do bram fabryk z murów instytutowych droga daleka, to i wyniki dociekań bywają odległe od tego, co rzeczywiście potrzebne.



Na chemię uniwersytecką (na zdjęciu u góry laboratorium chemii UW) jest miejsce w Warszawie, ale Instytut Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa można by zlokalizować bliżej producenta. Fot. S. ZUBCZEWSKI

JEDEN PARAMETR: WYGODNIEJ I WYSTARCZY

TADEUSZ SAWCZUK

Papier jest cierpliwy, czytelnicy mniej. Każdy nowy pomysł, nawet robiący zamieszanie w dotychczasowych przekonaniach i poglądach, jest cennym wkładem, jeśli tylko wyjaśnia i upraszcza, a nie gmatwa i tak już dostatecznie skomplikowaną naszą ekonomikę. Dotyczy to również problematyki zasilania jednostek gospodarczych w odpowiednią wielkość funduszu plac.

JEDNAKŻE dodatni wpływ publicznych dyskusji nad kierunkami dalszej poprawy systemu planowania i zarządzania nie ogranicza się tylko do krystalizowania się poglądów na określone zagadnienia poszczególnych mniej lub bardziej wpływowych na kierunki zmian dyskutantów, ale zawiera również potencjalne możliwości nowych, prostszych i lepszych rozwiązań. Pewną ewolucję nie tyle przekonań (bo „jednak dwa parametry” co poglądów na rolę i siłę oddziaływania określonych formuł (parametrów) zasilania jednostek gospodarczych w fundusz plac nie trudno zauważyć także u H. Blaszkaka.) Podział włosu na cztery części z zasady poprzedzany jest podziałem na dwie części. Z formułą zasilania poszczególnych jednostek inicjujących w adekwatny ich potrzebom wielkość funduszu plac zaczynamy, na szczęście tylko w dyskusji, postępować podobnie. Teoretycznie, można wprowadzić nie tylko dwa parametry, ale i ponad cztery, tylko po co?

Po pierwsze musimy sobie uświadomić, że w większym stopniu decyduje miernik oceny działalności gospodarczej poszczególnych przedsiębiorstw, a więc to co nazywamy efektem gospodarowania, dochodem lub też umownie produkcją dodaną o wielkości strumienia zasilającego jednostki gospodarcze w fundusz plac niż mechanizm, niż sam moment przetransferowywania odpowiedniej wielkości produkcji wyrażonej w określonym mierniku na adekwatną jej wielkość produkcji wielkości funduszu plac.

Po drugie, mechanizm ten musi być mechanizmem bardzo prostym i zrozumiałym możliwie dla największego kręgu zainteresowanych. Po trzecie, mechanizm ten w swej konstrukcji nie powinien zawierać elementów charakteryzujących się hamowaniem dynamiki produkcji oraz powinien być w pełnej rozciągłości konstrukcją logiczną (również z czysto matematycznego punktu widzenia).

Można wyliczyć jeszcze kilka cech koniecznych dla prawidłowego funkcjonowania tych formuł, ale nie o to w tym artykule chodzi. Mianowicie treścią tego artykułu jest podkreślenie konieczności (a co ważniejsze możliwości) stosowania takiej formuły zasilania jednostek gospodarczych w odpowiednią wielkość funduszu plac, która charakteryzuje się poza wyżej wymienionymi cechami, możliwością jej powszechnego zastosowania a co więcej niezmiennością jej funkcjonowania w dłuższym okresie czasu. Mam tu na myśli po prostu formułę udziałową.

MAŁA PRZYDATNOŚĆ W DŁUGIM OKRESIE

Uzasadnienie takiego rozwiązania poprzedzone zostanie krytycznym ustosunkowaniem się do propozycji H. Blaszkaka wprowadzenia dwuparametrycznego zasilania jednostek gospodarczych w fundusz plac. Otóż podstawowym mankamentem proponowanego przez H. Blaszkaka rozwiązania jest jego mała przydatność w długim okresie oraz dalsza komplikacja, która niczego nie rozwiązuje. Trafność swej propozycji autor uzasadnia przykładem liczbowym, który odzwierciedla dwa założenia, moim zdaniem nie całkiem słuszne nawet w stosunku do roku. Po pierwsze, autor zakłada występowanie obiektywnie uzasadnionej stopni elastyczności funduszu plac względem produkcji, co nie jest słuszne w ujęciu dynamicznym (w dłuższym odcinku czasu). Fakt, że łączny fundusz plac każdej jednostki gospodarczej składa się z elementów mających charakter kosztów stałych oraz zmiennych o różnym stopniu zmienności w zależności od przyrostu produkcji, pociąga za sobą zmianę elastyczności funduszu plac względem produkcji. Teoretycznie można założyć, że im większy występuje przyrost produkcji, tym mniejszego wymaga on przyrostu funduszu plac (wyłączając oczywiście dla uproszczenia rozumowania sytuację skokową). Zależność ta występuje oczywiście nawet w okresie roku, a więc również w krótkim okresie. Patrząc z tego punktu widzenia na wielkość parametru „R”, przy funkcjonowaniu formuły przy-

rostowej, to powinna ona być ściśle uzależniona od dynamiki przyrostu produkcji dodanej. Idąc konsekwentnie tym tokiem rozumowania, wielkość parametru „R” powinna być ustanawiana nie jako wielkość absolutna i to obowiązująca w niezmienną wysokość przez okres kilku lat, ale powinna mieć postać tabeli. W tabeli tej byłyby powiązane wzrosty procentowe produkcji dodanej z odpowiednią wielkością parametru „R” i w praktyce należałoby stosować taką wielkość tego parametru jaka jest przypisana do odpowiedniej dynamiki wzrostu produkcji dodanej. Po drugie, wydzielenie i „do-czepienie” do formuły przyrostowej formuły udziałowej jest być może przydatne, ale do ustanawiania odpowiedniej wielkości określonego parametru na konkretny okres a nie do jego funkcjonowania w dłuższym okresie. Pozorna konieczność stosowania jednocześnie dwóch formuł (przyrostowej i udziałowej) zrodziła się, być może, dlatego że autor nie skojarzył w tym wyniku przeprowadzania dowodzenia możliwości zamiennej stosowania tych formuł. Rozpatrując funkcjonowanie tych formuł w skali roku, można zauważyć, że

$$R = (P_d \times U - P_d) : P_d - P_d \text{ oraz } U = [(P_d - P_d) : P_d \times R] + (P_d : P_d)$$

Zależność tę nie trudno sprawdzić na konkretnym przykładzie liczbowym. Tak więc w warunkach statycznych działanie tych formuł jest identyczne w zakresie determinowania dopływu funduszu plac, pod warunkiem, że prawidłowo przekształci się wielkość parametru „R” na parametr „U” lub odwrotnie.

Ponadto jeżeli przeprowadzi się w sposób ciągły przekształcanie jednego parametru na drugi w ujęciu dynamicznym (przy założeniu jednak, że przewidywana dynamika wzrostu produkcji będzie rzeczywistą), to również w ujęciu dynamicznym działanie tych formuł jest jednakowe. Natomiast przy utrzymaniu niezmiennych wielkości tych parametrów przez okres dłuższy (3-5 lat) oraz dużych odchyleń rzeczywistej dynamiki od dynamiki przewidywanej, działanie tych parametrów jest odmienne. O czym dalej.

Tak więc błędne jest stwierdzenie H. Blaszkaka, że „Formuła przyrostowa jest stałym współczynnikiem „R” odpowiada więc formuła ze zmiennym współczynnikiem „U” i odwrotnie”, oraz że nie można analizować adekwatności obu współczynników, posługując się w obu formułach stałą ich wielkością przy zmieniających się pozostałych warunkach. Wydaje się natomiast, że autor ma najwięcej racji wykazując brak siły przekonywującej o wyższości formuły przyrostowej nad formułą udziałową, którą starał się udowodnić M. Mieszcankowski¹⁾. W artykule niniejszym nie ma miejsca na przeprowadzenie dowodu, że formuła udziałowa zawiera więcej elementów negatywnych od formuły przyrostowej, dlatego też zainteresowanych odsyłam do opracowania szerzej traktującego o tym zagadnieniu²⁾.

PRZYROSTOWA CZY UDZIAŁOWA

Chełmy tutaj natomiast wskazać na, moim zdaniem, pewne cechy udziałowej formuły zasilania jednostek gospodarczych w fundusz plac wyraźnie górujące nad formułą przyrostową. Rozpatrując działanie tych formuł od strony wyzwalania rezerw, należy stwierdzić, że formuła udziałowa działa silniej niż formuła przyrostowa.

Dla udowodnienia tego stwierdzenia można przytoczyć między innymi następujący przykład. Założmy, że określona jednostka gospodarcza zgodnie z programem rozwoju i prawidłowym wykorzystaniem rezerw produkcyjnych powinna dać produkcję dodaną w wysokości 475 jednostek z następującym optymalnym rozkładem w czasie:

$$t_0 - 100, t_1 - 150, t_2 - 225$$

przy wydatkowaniu funduszu plac w okresie bazowym w wysokości 50

z samego faktu zmniejszania się w czasie udziału funduszu plac w wartości produkcji dodanej oraz drugi raz z faktu zmniejszania się wartości tej produkcji. Tak więc udziałowa formuła zasilania fundusz plac zawiera w swej konstrukcji silne gwarancje przed spadkiem wartości produkcji i niejako wymusza konieczność dużego wzrostu tej produkcji.

Z punktu widzenia centralnego planifikatora, wydaje się, że udziałowa formuła zasilania jednostek gospodarczych w fundusz plac zawiera więcej elementów dodatnich niż formuła przyrostowa, ponieważ:

1. Zakładając, że przy ustanawianiu wielkości parametrów („R” lub „U”) brane były pod uwagę w ujęciu czasowym optymalne wielkości kształtowania się wielkości produkcji dodanej, to przy funkcjonowaniu formuły udziałowej jest większa pewność, że tak właśnie w ujęciu czasowym będzie kształtowała się wartość produkcji dodanej. Przy funkcjonowaniu formuły przyrostowej opłacalne jest dla danej jednostki gospodarczej w zasadzie tylko przyspieszenie wzrostu wartości produkcji dodanej. Natomiast przy funkcjonowaniu formuły przyrostowej mogą wystąpić przypadki opłacalności celowego opóźniania wzrostu produkcji.

2. W ujęciu makroekonomicznym można z dużym prawdopodobieństwem wyliczyć, z jednej strony jak dotychczas kształtował się udział funduszu plac w wartości produkcji dodanej w poszczególnych branżach wraz z trendem (i siłą spadku, a być może niekiedy wzrostu) tej ekonomicznej zależności, oraz z drugiej, na podstawie danych empirycznych charakteryzujących poszczególne branże w krajach przodujących można przewidywać jak będzie się kształtował ten udział w przyszłości (oczywiście biorąc pod uwagę aktualny stan technologii i organizacji wytwarzania oraz przyszłościowy, wynikający między innymi z wielkości nakładów inwestycyjnych).

3. Wydaje się, że udziałowa formuła zasilania fundusz plac można objąć wszystkie jednostki gospodarcze (a nie tylko produkcyjne), co w dużym stopniu przyczyniłoby się do jednolitości i powszechności zasilania poszczególnych jednostek gospodarczych w odpowiednią wielkość funduszu plac. Przy czym w jednostkach nieprodukcyjnych nie musi być udział w produkcji dodanej np. w przedsiębiorstwach handlowych może to być udział w obrocie, w budowlanych — w przerobieniu netto, itp.

4. Warto zwrócić uwagę również i na to (a może przede wszystkim na to), że formuła udziałowa jako

Wyszczególnienie	I wariant — optymalny				II wariant — celowo zmniejszalony			
	t_0	t_1	t_2	suma	t_0	t_1	t_2	suma
Produkcja dodana	100	150	225	475	100	110	265	474
Fd przy R = 0,6	50	65	84,5	199,5	50	53	98,8	201,8
Fd przy U = 0,887	50	65	84,5	199,5	50	53	98,8	197,2

Warto ponadto zaznaczyć, że na wskazane wyżej rozłożenie w czasie wyzwalania rezerw przy funkcjonowaniu formuły udziałowej jednostka gospodarcza nie może sobie pozwolić, między innymi dlatego, że niski współczynnik korygujący „U” (0,887) powoduje zmniejszenie dyspozycyjnego funduszu plac w roku następnym w stosunku do roku poprzedniego przy stosunkowo niewielkiej (lecz znacznie mniejszej niż zakładano przy ustalaniu tego parametru) dynamice wzrostu produkcji dodanej.

Warto tutaj podkreślić, że formuła przyrostowa przy stałym przez dłuższy okres (3-5 lat) parametrze „R” może stwarzać zainteresowanie z punktu widzenia dopływu wielkości funduszu plac do powstawania odchyleń w górę lub w dół od optymalnych wielkości przyrostu produkcji dodanej w ujęciu czasowym, co z punktu widzenia bilansowania gospodarki narodowej jest spostrzeżeniem bardzo istotnym.

Działanie przyrostowej i udziałowej formuły zasilania w fundusz plac jest w zasadzie jednakowe przy stosunkowo dużej i proporcjonalnie rozłożonej w czasie dynamice produkcji dodanej. W sytuacji niskiego wzrostu produkcji dodanej lub całkowitego braku wzrostu, przyrostowa formuła staje się formułą neutralną (chyba, że potraktujemy ją jako swego rodzaju blokadę dopływu funduszu plac), natomiast formuła udziałowa działa z pewną siłą w kierunku redukcji udziału funduszu plac w wartości produkcji dodanej. Przeprowadzane tutaj rozumowanie zakłada, że parametry R i U są — zgodnie z ideą ich wprowadzenia — stałe w dłuższym okresie.

Natomiast w sytuacji spadku produkcji dodanej działanie tych formuł jest całkowicie odmienne. Mianowicie, formuła przyrostowa w przypadku minusowej dynamiki redukuje wielkość funduszu plac mniej niż proporcjonalnie w stosunku do wielkości funduszu plac w okresie bazowym (np. 10 proc. spadek wartości produkcji dodanej w stosunku do okresu bazowego pociąga za sobą przy R = 0,6 tylko 6 proc. spadek funduszu plac). Idąc dalej tym tokiem rozumowania, nawet całkowite wstrzymanie produkcji upoważnia daną jednostkę gospodarczą do dysponowania określoną wielkością funduszu plac. I to tym większą im mniejszy jest parametr „R”, co jest podstawowym, nie tylko czysto logicznym, paradoksem tej formuły.

Przy funkcjonowaniu udziałowej formuły zasilania fundusz plac okresowy spadek wartości produkcji dodanej jest podwójnie nieopłacalny. Nieopłacalność ta wynika z

wzrostu produkcji. Co więcej, prowadzone w Instytucie Finansów badania na temat motywacyjnego działania systemu premiowania kadry kierowniczej z zysku (a jest to konstrukcja o wiele prostsza) wykazały, że już na szczeblu mistrza brak jest pełnego zrozumienia i jasności wdrażanego systemu. Tak że dyskusje na temat, w jaki sposób kolektyw pracowniczy niższego szczebla będzie przeliczał jedną formułę w drugą można sobie darować.

Natomiast w przypadku funkcjonowania formuły udziałowej można każdemu bezpośredniemu wykonawcy powiedzieć, że każda wykonana przez zakład lub przez niego złotówka produkcji dodanej upoważnia do określonej wielkości funduszu plac, w zależności od udziału tego funduszu w wartości produkcji dodanej, który z racji funkcjonowania formuły udziałowej będzie z roku na rok o pewien ułamek mniejszy, mimo stałego parametru „U”. Tak więc nie musi on wiedzieć, w jakim momencie zaczyna działać formuła przyrostowa, tzn. kiedy przekroczył on lub jego zakład wielkości bazowe i od jakiego momentu ma on prawo do zwiększenia własnego funduszu plac. Przy funkcjonowaniu formuły udziałowej wie on od samego początku, ile należy się mu funduszu plac za każdą wyprodukowaną wartość produkcji dodanej, czego poprzedni dyskutanci nie wykazywali.

Patrząc z tego punktu widzenia, funkcjonowanie udziałowej formuły zasilania zawiera więcej (a nie mniej) informacji o możliwościach dysponowania fundusz plac i co ważniejsze informacje te są bardziej zrozumiałe dla przeciętnego wykonawcy. Jednakże z psychologiczno-propagandowego punktu widzenia formuła przyrostowa jest bardziej bezpieczna dla załogi, ponieważ formuła ta w pełnej rozciągłości akceptuje relacje w bazie i każdy wie o tym, że to, co dotychczas osiągnął, w przyszłości nie będzie mu odbierane. Natomiast przy funkcjonowaniu w czystej postaci formuły udziałowej wraz z upływem czasu warunki wygosparowywania odpowiedniej wielkości funduszu plac stają się coraz bardziej obojętne, co może być niebezpieczne przychylności przyjęte przez niektórych załogi. Można wprawdzie tłumaczyć to tym, że z jednej strony w przeszłości danego zakładu (tzn. na przestrzeni ostatnich lat) takie właśnie relacje, zachodziły, czyli że udział funduszu plac w wartości produkcji dodanej w określonym stopniu zmniejszał się wraz z upływem czasu oraz z drugiej strony, że ogólnosiłowa (obiektywna) tendencja wykazuje również systematyczny spadek — jakkolwiek różny w różnych branżach i w różnych okresach — udziału funduszu plac w wartości produkcji dodanej. Udziałowa formuła zasilania funduszu plac jest jak gdyby pewną formą zbiorowego akordowego wynagradzania z założeniem corocznego wzrostu wydajności pracy (mierzonoj wydatkowaniem funduszu plac).

Są to tylko niektóre elementy przemawiające za tym, aby formuła udziałowa stała się formułą powszechnie obowiązującą nie tylko w przedsiębiorstwach budowlano-montażowych. Na tle tego co wyżej powiedziano rodzi się pytanie, dlaczego formuły tej dotychczas nie stosowano powszechnie. Biorąc chronologicznie, pierwszym powodem, jak się wydaje, był fakt, że idea parametrycznego zasilania jednostek gospodarczych w fundusz plac sformułowana została po raz pierwszy właśnie w formule przyrostowej i siła inercji stała się bardziej zrozumiała, a tym samym bardziej powszechna³⁾.

Drugi i chyba zasadniczy powód tkwi w słusznym przekonaniu, że bez dodatkowych instrumentów zapewniających równowagę rynkową, swobodne działanie formuły udziałowej może równowagę tę poważnie zachwiać. Parametryczny charakter zasilania wielkich organizacji gospodarczych w fundusz plac zawiera w sobie pewne ryzyko nadmiaru lub niedoboru funduszu plac, ryzyko to jest tym większe im mniejsza jest organizacja gospodarcza. Ryzyka tego, przy założeniu niezmiennych wielkości parametrów w długim okresie nie da się całkowicie wyeliminować.

Pewnym złagodzeniem tego ryzyka, stosunkowo najbardziej skutecznym, powinna być instytucja opodatkowania nadmiernego dopływu funduszu plac. Każda jednostka gospodarcza jest tak żywym organizmem, że praktycznie nie da się jej zdefiniować — przy założeniu, że powinna ona rozwijać się dynamicznie — nawet i przy pomocy 100 para-

metrów zasilających ją w odpowiednie środki. Dlatego też wydaje się, że najwłaściwszym rozwiązaniem jest zagregowanie wszystkich czynników determinujących wielkość funduszu plac w jeden parametr, a więc postulat nie „skąpego” a „obfitego” parametru jakim jest parametr „U” z równocześnie wprowadzeniem odpowiednio przemysłowego systemu opodatkowania nadwyżek dyspozycyjnego funduszu plac. Trzeba przypomnieć, że ze wszystkich znanych instrumentów zapewniających równowagę rynkową od strony funduszu plac, jeszcze stosunkowo najmniej hamująco wpływa na motywację umiejętnie opodatkowanie funduszu plac, funduszu zachęty materialnych⁴⁾.

Żeby nie było i tak już, narzutowionych w tej dziedzinie dalszych nieporozumień, należy jeszcze raz podkreślić, że formuły te są zamienne przy znanej dynamice wzrostu miernika z jakim są one związane (a więc z produkcją dodaną) i zbędne jest ich równoczesne występowanie. Podany przez H. Blaszkaka przykład z U większe od 1 oraz z O mniejsze od 1 i R mniejsze od 1 tylko zagmatwał problem. Idąc konsekwentnie tym tokiem rozumowania, należałoby wprowadzić wiele parametrów. Dziwne wydaje się stwierdzenie, że szeroki zakres zjawisk tego typu, jak zmiana poziomu uzbrojenia technicznego, zmiana technologii wytwarzania, zmiana struktury sprzedaży, założenia polityki placowej powinny wyrazić tylko za pomocą formuły udziałowej i to wyrażone jednym parametrem, a nie tyloma ile jest tych czynników. Takie dzielenie włosu na czworo jest dobre, a być może nawet konieczne w stosunku do indywidualnych jednostek organizacyjnych wewnątrz jednostki inicjującej a nie na szczeblu centralnym.

Słusznie natomiast został podniesiony problem przez H. Blaszkaka, że odchYLENIA od zakładanej dynamiki wzrostu wartości produkcji są powodowane różnymi czynnikami mniej lub bardziej zależnymi od działalności tych jednostek i w ramach tych odchyleń inaczej działa formuła przyrostowa i inaczej udziałowa. Jednakże dyskusyjnym jest czy odchYLENIA te powinny lub mogą być regulowane w zakresie dopływu funduszu plac i tylko przez formułę udziałową i to zawartą w jednym parametrze. Jest tyle samo argumentów za co i przeciw regulowaniu tych odchyleń przez formułę przyrostową, jeśli tylko parametru „R” nie zamknijemy w przedziale od 0 do 1.

Dlaczego nie poddać by pod dyskusję, być może przesadnie uproszczonego, rozwiązania polegającego na tym, że przykładowo w następnej pięcioletniej 1976 — 1980 obowiązują następujące parametry: dla budownictwa U = 0,98, dla przemysłu chemicznego U = 0,94, dla przemysłu maszynowego U = 0,95, itd. z równoczesną wspólną tabelą opodatkowania nadwyżek przyrostów dyspozycyjnego funduszu plac. Wielkość parametrów podano bez większego rozważania. Parametry te po prostu oznaczają obligatoryjnie nałożony obowiązek wzrostu wydajności pracy mierzony fundusz plac w skali roku o 2, 6, 5 proc.

Rozwiązanie takie spowoduje: likwidację przetargów o wielkość parametrów, zapewni prawnie działanie tych parametrów w okresie co najmniej pięciu lat w niezmienną wysokości, silną dynamikę wzrostu produkcji, powszechność jego stosowania, zrozumienie mechanizmu jego działania przez większość zainteresowanych oraz, że instytucja podatku ochroni przed zachwianiem równowagi rynkowej.

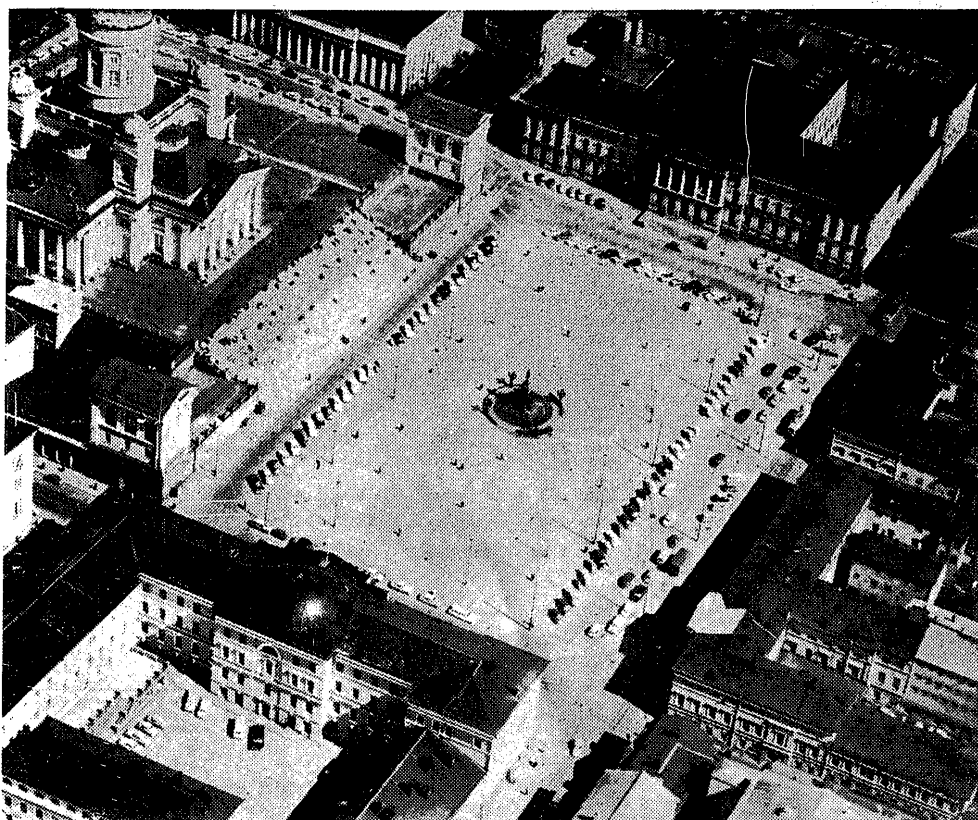
¹⁾ H. Blaszkak: „Tak, ale o dwóch parametrach” — „Z.G.” 19/73, „A jednak dwa parametry” — „Z.G.” 23/73 oraz „Kierunki modyfikacji formuły placowej” — „Z.G.” 42/74. Z treści tych publikacji można dostrzec, że autor proponował w początkowym okresie dwa parametry o charakterze przyrostowym „dwa R”, modyfikując je na dwa parametry, jeden o charakterze przyrostowym, drugi o charakterze udziałowym.

²⁾ M. Mieszcankowski: „O współczynniku przyrostu funduszu plac” — „Z.G.” 38/74.

³⁾ T. Sawczuk: Przyrostowa i udziałowa formuła zasilania fundusz plac — Instytut Finansów, grudzień, 1973 r. (maszynopis).

⁴⁾ Por.: B. Fick: Bezpośrednie czy pośrednie planowanie plac — „Z.G.” 37/71 oraz dyskusja „Za co i jak płacić?” — „Z.G.” 44/71.

⁵⁾ Propozycje modyfikacji tabeli opodatkowania funduszu zachęty materialnych przedstawiłem w pracy: „Propozycje wzmocnienia zysku jako źródła zachęty materialnych”. Instytut Finansów, wrzesień 1974 (maszynopis).



NASZ HANDEL Z FINLANDIĄ

WIESŁAW SZYNDLER-GŁOWACKI

Finlandia nie należy do naszych największych partnerów handlowych. Ale mimo to przywiązuje się do współpracy gospodarczej z tym krajem, gdyż z wielu względów może być ona dla obu stron bardzo korzystna.

KRAJ I GOSPODARKA

Finlandia ma obszar nieco większy od Polski, ale kilkakrotnie mniejszą liczbę ludności (w 1973 r. 4,6 mln osób). Przy tym znaczna większość mieszkańców żyje w południowo-zachodniej części kraju, gdzie też znajdują się główne miasta: Helsinki (0,5 mln mieszkańców), Tampere, Turku i Lahti (po ok. 0,1 mln miesz.) Natomiast najrzadziej zaludniona jest leżąca za kołem podbiegunowym Laponia (1/4 powierzchni kraju).

Dla gospodarki szczególne znaczenie ma fakt, że Finlandia — to najbardziej załesiony kraj w Europie. Stąd też główną dziedziną przemysłu jest tu **przemysł drzewny i papirniczy**, dający ok. 1/4 całej produkcji przemysłu. Transport drewna do obwodów przemysłowych i do portów odbywa się głównie drogami wodnymi, przez połączone ze sobą systemy jezior (których jest tu ponad 60 tysięcy).

Bogactwem naturalnym Finlandii są też rudy metali, a zwłaszcza miedzi (które jednak zawierają znaczne domieszki) i żelaza, a ponadto innych szlachetnych metali. Stąd ważną dziedziną fińskiej gospodarki jest również eksploatacja tych złóż i **hutiernictwo metali oraz przemysł metalowy i maszynowy**. Szczególne znaczenie mają tu fabryki maszyn dla przemysłu drzewnego i celulozowo-papirniczego oraz stocznie, fabryki dźwigów portowych i innych morskich oraz portowych urządzeń transportowo-przeładunkowych.

Charakterystyczną cechą fińskiej gospodarki jest przy tym fakt, że choć nigdy nie przeprowadzono tu powszechnej nacjonalizacji, to jed-

nak energetyka i górnictwo znajdują się w rękach państwa i władz komunalnych, a w metalurgii i przemyśle maszynowym sektor społeczny ma dużą przewagę nad prywatnym. Dużą rolę w gospodarce fińskiej odgrywają państwowe koncerny, takie jak Outokumpu Oy (górnictwo i hutnictwo metali kolorowych), Rautaruukki Oy (stal i wyroby walcowane), Valmet Oy (maszyny papirnicze, statki, konstrukcje przemysłowe), Neste Oy (petrochemia) i inne. W ub. roku przedsiębiorstwa państwowe wytworzyły ponad 20 proc. całej produkcji przemysłowej kraju i udział ten stale rośnie.

ROZWÓJ HANDLU ZAGRANICZNEGO

Wysoka dynamika inwestycji w sektorze państwowym wpływa na szybką modernizację struktury gospodarczej Finlandii, a zwłaszcza na modernizację eksportu. Biorąc pod uwagę lata przedwojenne aż 80 proc. wartości eksportu dawał wywóz drewna, który obecnie ograniczony do minimum, gdyż eksportuje się głównie celulozę i papier (przy czym z roku na rok maleje udział celulozy na rzecz papieru). I rośnie eksport wyrobów przemysłu maszynowego: maszyn i kompletów, wyrobów celulozowo-papirniczych oraz statków, urządzeń stoczniowych i portowych. Dzięki rozbudowie państwowego górnictwa i hutnictwa Finlandia stała się też jednym z czołowych w świecie dostawców niektórych metali kolorowych (np. wanadu i kobaltu).

Rozwojowi sektora państwowego i w ogóle gospodarki fińskiej sprzyja realistyczna polityka: obecnego koalicyjnego rządu, kierowanego przez premiera reprezentującego partię socjaldemokratyczną. Rząd ten, najtrwalszy w powojennej historii Finlandii, dał wiele przykładów skutecznego działania w interesie ogólnonarodowym. Szczegól-

nym tego przejawem było rozwijanie stosunków gospodarczych z krajami socjalistycznymi (bliżej piszemy o tym obok).

Handel z krajami socjalistycznymi ma dla Finlandii duże znaczenie. m. in. dlatego, że kraj ten są **dostawcą surowców paliwowych-energetycznych** (których Finlandia niemal zupełnie nie posiada), a zarazem **głównym odbiorcą maszyn i urządzeń** (na których w coraz większym stopniu opiera się eksport Finlandii). Przy czym, socjalistyczni partnerzy gwarantują Finlandii stałe i długofalowe zaopatrzenie w paliwa i zbyty maszyn.

Stąd też Finlandia jest zainteresowana dalszym rozwojem wymiany m. in. z Polską. Równocześnie się też chcemy intensyfikować współpracę gospodarczą z tym krajem uważając, że może to obu stronom przynieść korzyści, które dotychczas wykorzystywano w zbyt małym stopniu.

CO IMPORTUJEMY Z FINLANDII

W całym naszym imporcie z Finlandii, wynoszącym w ub. roku 103 mln zł, najwięcej ważył zakup **wyrobów przemysłu drzewno-papirniczego** za 39 mln zł. Składał się na to przywóz płyt wiórkowych i sklejek (Finlandia jest ich naszym trzecim dostawcą po ZSRR i Austrii), celulozy, siarczanowej papiernicy (trzeci dostawca po ZSRR i Szwecji) i przede wszystkim papier (czwarty dostawca po ZSRR, Austrii i Szwecji).

Trzeba tu jednak zaznaczyć, że jeszcze w latach sześćdziesiątych Finlandia była naszym zdecydowanie największym dostawcą celulozy i papieru, ale potem, gdy w świecie notowano nadwyżki tych produktów, nasi importery przetrucili się na dostawców, którzy najbardziej obniżyli cenę. Dopiero ostatnio, gdy na świecie sytuacja odwróciła się i doszło do deficytu papieru — zno-

wu wracamy do dostawców fińskich, ale jeszcze w ub. roku zwiększony import celulozy z Finlandii był w tonach siedmiokrotnie mniejszy niż w 1970 r. (co częściowo tłumaczy się jednak ograniczeniem fińskiego eksportu celulozy na rzecz papieru), a import papieru — dwukrotnie mniejszy. Dalsze zwiększenie tego importu z Finlandii zależy m. in. od warunków cenowych.

Drugą dużą i szybko rosnącą ostatnio dziedziną naszego importu z Finlandii są **zakupy maszyn i urządzeń** — w ub. r. za 33 mln zł. Około połowy wartości tego importu stanowił statek-drobnicowiec, a ponadto kupiliśmy w Finlandii maszyny i urządzenia dla przemysłu celulozowo-papirniczego (trzeci dostawca po RFN i Austrii), a także różne suwnice, żurawie i dźwigi dla naszych stoczni i portów.

Finlandia w niektórych przemysłach (a zwłaszcza w drzewno-papirniczym, urządzeniach stoczniowo-portowych i w międzywiołowym) reprezentuje **stosunkowo wysoki poziom** i mogłaby być dla nas źródłem zakupu nowoczesnych urządzeń na znacznie wyższą niż dotychczas skalę, gdyby oferty fińskie opierały się o ceny bardziej konkurencyjne w stosunku do ofert innych dostawców (u których ostatnio kupowaliśmy tańsze urządzenia dla przemysłu drzewno-papirniczego). Jest to istotny problem wymagający obustronnego przedyskutowania.

Przykładem przełamania tych trudności był m. in. nasz ostatni zakup patentu i urządzeń do wytopu miedzi firmy Outokumpu Oy, która opracowała w tej dziedzinie bardzo efektywną technologię. Takich zakupów jest jednak jeszcze niewiele. I w rezultacie **dogodne kredyty** przyznane nam przez rząd fiński na zakupy w Finlandii głównie wyrobów inwestycyjnych (co jest formą promocji takiego eksportu), są jak dotychczas tylko w niewielkim stopniu wykorzystane.

Na pozostały import z Finlandii złożył się w ub. roku przywóz wyrobów przemysłu chemicznego (za 14 mln zł, głównie kleje, włókna celulozowe i artykuły z tworzyw sztucznych), mineralnego (za 8 mln zł, głównie cement i klinkier cementowy), spożywczego (za 4 mln zł) i szereg innych, mniejszych już pozycji.

A CO TAM EKSPORTUJEMY

Finlandia pozbawiona własnych zasobów paliw jest dla nas przede wszystkim dużym odbiorcą **węgla kamiennego**: w ub. r. na cały eksport do tego kraju wynoszący 170 mln zł eksport węgla dał blisko 98 mln (blisko 2,6 mln ton). Finlandia jest tu naszym szóstym odbiorcą (po ZSRR, NRD, Włoszech, Danii i Czechosłowacji), przy czym jest to nasz tradycyjny odbiorca, gdyż wielu już lat (jeszcze w r. 1960, gdy eksport do innych krajów był mniejszy, Finlandia była drugim po ZSRR odbiorcą naszego węgla).

Obecnie, wobec narastających w świecie trudności paliwowych, Finlandia chce stać się zwiększać zakupy węgla w Polsce — i to zwiększać je bardzo szybko. Jednak wymaga to od nas sporych nakładów na bardzo kapitałochłonne inwestycje górnicze — uważamy za pożądaną jakiś pośredni udział w tych nakładach ze strony fińskiej.

Z potrzebami energetycznymi Finlandii wiąże się też druga główna dziedzina naszego eksportu do tego kraju — **eksport maszyn i urządzeń**, który w ub. roku wyniósł 23 mln zł — bowiem chodzi tu przede wszystkim o sprzedaż urządzeń dla energetyki. Przy czym eksport ten będzie się szybko rozwijał, zawarto już kontrakty na dostawy w latach 1974—77 do Finlandii podstawowych urządzeń (kotły i turbopospy) dla 5 elektrociepłowni o mocy 385 MW (za ponad 44 mln zł); jedna z tych elektrociepłowni ma konstruowany przez polskich inżynierów kotłowni przystosowany do opalania olejem oraz jedynym fińskim paliwem — torfem. Inne ważniejsze pozycje zesłano do eksportu naszego przemysłu elektro-

zynowego do Finlandii — to wyposażenie statków, samochody osobowe (1,1 tys.) i rowery (12 tys.). Aktywizacji eksportu naszych samochodów i rowerów a także różnych aparatów i urządzeń ma służyć rozpoczynająca właśnie swą działalność polsko-fińska spółka promocyjno-handlowa Polmot Oy.

A wśród pozostałych dziedzin wywozu do Finlandii warto jeszcze wspomnieć o eksporcie wyrobów przemysłu spożywczego (za 16 mln zł, głównie kazeina, ponadto cukier, melasa, wyroby spirytusowe, owoce mrożone), chemikalia (za 10 mln zł: sól, soda, chlorek wapnia, barwniki, farmaceutyki) i wyroby przemysłu lekkiego (za 7 mln zł, głównie artykuły tekstylne oraz obuwie i galanteria skórzaną). Eksport wyrobów przemysłu lekkiego do Finlandii jest jednak utrudniony na skutek stosowanych tam limitów i barier celnych chroniących produkcję krajową.

DYNAMIKA I STRUKTURA OBROTÓW

Mimo swobodnego uzupełniania się gospodarki Polski i Finlandii pod niektórymi względami — wzajemne obroty na skutek zasygnalizowanych trudności rozwijały się stosunkowo wolno, a w niektórych okresach nawet malały. W rezultacie nasz import z Finlandii i eksport do tego kraju kształtował się następująco (w mln zł):

Rok	Import	Eksport
1960	42,9	80,4
1961	70,8	82,5
1970	124,6	141,9
1971	89,1	191,1
1972	96,4	156,3
1973	103,2	176,9

Stąd też udział Finlandii w całym naszym eksporcie zmalał z 1,2 proc. w r. 1960 do 0,9 proc. w r. 1970 i 0,4 proc. w r. 1973, zaś jej udział w naszym eksporcie zmniejszył się w tych samych latach z 1,6 do 1,0 i 0,8 — proc. Sytuacji tej w zasadzie nie zmienia fakt, iż w roku bieżącym nasz eksport do Finlandii wzrośnie prawdopodobnie o ponad 30 proc., a import o ok. 15 proc.

Wydaje się, że jedną z istotnych przyczyn tej stosunkowo niewielkiej dynamiki obrotów jest obok wspomnianych już perturbacji cenowych znaczna **przewaga surowców i paliw** w strukturze tych obrotów: w ub. roku w imporcie z Finlandii stanowiły one 68 proc. (gdy w całym naszym imporcie — 23 proc.), zaś w naszym eksporcie do tego kraju aż 75 proc. (gdy w całym eksporcie — 22 proc.). A wiadomo, że we współczesnym świecie obroty surowcami rosną stosunkowo wolno, najszybciej zaś rozwija się między narodowy podział w sferze maszyn i urządzeń. Ich udział w naszym imporcie z Finlandią wyniósł jednak 28 proc. (gdy w całym imporcie 41 proc.), a w naszym eksporcie do tego kraju tylko 10 proc. (gdy w całym eksporcie 39 proc.).

Tak więc handel polsko-fiński wciąż jeszcze w zbyt dużym stopniu ma **charakter tradycyjnej wymiany nadwyżek surowców**, a w zbyt małym stopniu wynika on z nowoczesnego podziału pracy między gospodarkami wyspecjalizowanymi w najbardziej dla siebie efektywnych dziedzinach przetwórstwa. Niewątpliwie należy tedy dążyć do unowocześnienia struktury tych obrotów, a tym samym i do większego ich zdynamizowania.

ZALĄŻKI KOOPERACJI

Szczególnie efektywną formą wprowadzania nowoczesnego podziału pracy, sprzyjającego szerszemu postępowi technicznemu i wzajemnemu „dopasowywaniu” się partnerów jest kooperacja produkcyjna. Taką kooperację chcemy rozwijać również z Finlandią. Na razie jednak stworzono zaledwie jej załączki i to w niektórych tylko dziedzinach.

Tak np. nasz przemysł kooperuje już ze stoczniami fińskimi, budującymi statki dla Związku Radzieckiego. Stoczniami tym dostarczamy m. in. kotły parowe i turbopospy, pomozy rurowe itp. — a wartość tych dostaw w ostatnich 2 latach wyniosła ok. 7 mln zł. Zawarto już również porozumienie na „podstawy” niektórych elementów do kupowania przez nas w Finlandii celulo-

zowni Świecie II (ale pytanie, czy można to nazwać kooperacją).

Wszystko to jednak jeszcze niewiele stanowi i warto chyba szukać możliwości kooperacji również w takich dziedzinach jak np. przemysł drzewny, maszyn górnictwa, urządzeń hutniczych, energetyka, telekomunikacja, chemia. Wydaje się, że powinno temu sprzyjać nawiązanie bliższej współpracy naukowo-technicznej w tych właśnie dziedzinach.

PROBLEMY DO ROZWIĄZANIA

Podstawą do dalszego rozwijania wymiany polsko-fińskiej stanowi podpisana w styczniu br. **dziesięcioletnia umowa o współpracy gospodarczej, przemysłowej, naukowej i technicznej**, która potwierdza obustronne zainteresowanie takim rozwojem. Jeśli jednak w praktyce chcemy pełniej wykorzystywać korzyści, jakie może przynieść rozwijanie tej współpracy obu stronom — **trzeba rozwiązać szereg problemów** związanych z zasygnalizowanymi wyżej perturbacjami cenowymi, kredytowymi itp., a także z celnymi i innymi ograniczeniami i rozmiarów importu przez stronę fińską — oczywiście na zasadzie wzajemnych ustępstw i korzyści.

Pożądaną jest też konsekwentne przejście z obrotów clearingowych między naszymi krajami na sprzyjającą większej dynamice **system rozliczeń wolnodelowizyjnych**. Wprowadzenie już wprowadzono, ale na zasadzie tymczasowego „eksperymentu”, który należałoby już formalnie usankcjonować przez odpowiednią umowę płatniczą, a tym samym nadać wzajemnym stosunkom bardziej stabilne podstawy.

Jednak chyba ważniejsze od tych spraw handlowo-traktatowych jest **zwiększenie zainteresowania działaczących gospodarczych obu krajów możliwościami i potrzebami partnerów z Bałtyku**. Okazuje się bowiem, że często nasi producenci czy handlowcy nie interesują się bliżej rynkiem fińskim i stoją w bogać jeszcze większym stopniu dotyczy producentów i handlowców fińskich, gdy chodzi o ich zainteresowanie rynkiem polskim. Uważa się, że na skutek tego przegapiono już niejedną dobrą okazję dwustronne korzystnych transakcji.

My np. moglibyśmy oprócz urządzeń dla elektrowni eksportować do Finlandii na większą skalę np. wyroby hutnicze, obrabiarki, samochody czy artykuły konsumpcyjne pochodzenia przemysłowego. Z kolei Finlandia mogłaby nam dostarczać znacznie więcej nie tylko urządzeń stoczniowych i portowych, ale też np. maszyn dla przemysłu drzewnego czy metalurgicznego, urządzeń dla transportu kontenerowego itp.

Poza tym pożądaną jest **blizsza współpraca** w takich dziedzinach, jak np. **gospodarka leśna**, która w Finlandii stoi na bardzo wysokim poziomie. Korzystna mogłaby też być wymiana doświadczeń **spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego**, w Finlandii bardzo już rozwiniętego. Współpraca naukowo-techniczna w tych i wielu innych dziedzinach nie powinna się ograniczać do niewielkiej reszty wymiany specjalistów i praktykantów.

*

Do zacieśnienia wzajemnej współpracy gospodarczej między Polską a Finlandią niewątpliwie przyczyni się **oficjalna wizyta** tow. **Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza** w Finlandii. Chodzi nie tylko o bardziej długofalowy program wymiany handlowej i o usunięcie niektórych przeszkód jej rozwoju, ale w ogóle o wzajemne zbliżenie między społeczeństwem polskim i fińskim, dla którego to zbliżenia wizyta ta może mieć duże znaczenie, i które jest jednym z istotnych warunków ożywienia współpracy gospodarczej.

świat — ekonomia — polityka

WŁADYWOSTOK — 74

NA JEDNYM ze wzgórz wulkanicznych w rejonie Władywostoku spotykają się 24 listopada przywódcy Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Pierwsze spotkanie Breżniew-Ford odbędzie się bez wielkiej pomp, mieć będzie charakter czysto roboczy. Świat przywykł już do radziecko-amerykańskiego dialogu, bez którego nie może być mowy o pokojowym obrazie współczesności.

Niemale znaczenie dla stosunków politycznych obu mocarstw posiada wzajemna współpraca gospodarcza. Kilka tygodni temu w Moskwie odbyło się drugie posiedzenie amerykańsko-radzieckiej rady handlowo-gospodarczej. Na spotkaniu z jej członkami Leonid Breżniew oświadczył m. in.:

„Bez postępu w tej dziedzinie, która stanowi niejako fundament wielkiego gmachu radziecko-amerykańskiej pokojowej współpracy i dobrego sąsiedztwa, wiele z tego, co dotychczas stworzono, dzięki wspólnym wysiłkom w latach 1972, 1973 i 1974 może być narażone na szwank”.

W wywiadzie udzielonym korespondentowi „Nowych Czasów” przewodniczący rady ze strony radzieckiej, wiceminister handlu zagranicznego ZSRR W. Alchimow powiedział:

„Mamy nadzieję, że obroty handlowe między ZSRR a USA w bieżącym roku przekroczą kwotę miliarda dolarów. Znaczenie wzrasta eksport radzieckich towarów do USA. Jeśli chodzi o import maszyn z USA, jest on realizowany zarówno za gotówkę, jak też w ramach kredytów z udziałem Banku Eksportowo-Importowego USA lub też banków prywatnych.

Radzieckie organizacje zakupiły na tej podstawie maszyny i urządzenia w USA dla 16 obiektów inwestycyjnych na ogólną sumę ponad miliarda dolarów. Wśród tych obiektów znajduje się Kamieńska Fabryka Samochodów Cieżarowych. W dostawach urządzeń dla tej fabryki uczestniczy ponad 100 amerykańskich firm, przy czym na czoło wysuwa się tu towarzystwo „Pullmann”.

Importujemy urządzenia aglomerowni rudy żelaza, wytwórni kwasu octowego, urządzenia dla fabryk samochodów w Moskwie, do betonowania kanałów nawadniających oraz dla przemysłu gazowego.

Budowa szeregu obiektów związana jest ze wzrostem w ZSRR produkcji artykułów konsumpcyjnych. Należy tu wymienić m. in. maszyny do produkcji sztucznych futer, wielkie zakłady produkujące zastawę stołową z plateru i stali nierdzewnej oraz inne.

Zapytany o nierozstrzygnięte kwestie stojące na drodze rozwoju handlu radziecko-amerykańskiego W. Alchimow stwierdził:

Przed wszystkim brak klauzuli największego uprzywilejowania dla naszego eksportu do USA. Radzieckie artykuły dostarczane do USA są dyskryminowane, zaś eksport szeregu ważnych towarów jest poważnie utrudniony.

Wnosi to element niepewności do rozwoju handlu. Radzieckim organizacjom trudno jest w takich warunkach rozszerzać niezbędną bazę eksportową, zaś firmom amerykańskim — zapewnić konkurencyjność zakupionych w ZSRR towarów na rynku USA.

Brak klauzuli największego uprzywilejowania poważnie komplikuje także praktyczną realizację wielu wspólnych projektów kompensacyjnych, zwłaszcza w związku z brakiem normalnych warunków dla sprzedaży w USA wyrobów wyprodukowanych w ramach tych projektów.

Sukces rokowań w sprawie wielu projektów zależeć będzie również od tego, w jakim stopniu propozycje towarzystw amerykańskich zadowolą będą stronę radziecką z handlowo-ekonomicznego punktu widzenia, a zwłaszcza — od warunków finansowania.

Udzielanie długoterminowych kredytów przy dostawach kompleksowych urządzeń jest ogólnie przyjętą praktyką w handlu międzynarodowym. Jeśli udzielanie nam długoterminowych kredytów zostanie zahamowane, stworzy to poważne trudności dla udziału firm amerykańskich w realizacji przyjętych przez nas projektów, ponieważ firmy USA staną się niekonkurencyjne w porównaniu z firmami innych państw.

Według ostatnich doniesień z Waszyngtonu między rządem USA i Kongresem osiągnięty został kompromis w kwestii przyznania ZSRR klauzuli największego uprzywilejowania, to jest warunków, z jakich korzystają pozostali partnerzy handlowi USA. Jeśli Kongres podejmie pozytywną decyzję w tej sprawie, handel radziecko-amerykański będzie rozwijać się w jeszcze szybszym tempie.”

Sekretarz Generalny KC KPZR zwrócił się do uczestników moskiewskiego posiedzenia rady z następującymi słowami:

„Druga sesja rady radziecko-amerykańskiej odbyła się jesienią. Jednakże w dziedzinie stosunków gospodarczych nasze kraje znajdują się — powiedziałbym — jeszcze w okresie wczesnej wiosny, kiedy słońce zaczyna świecić jaśniej, jednakże nie jest jeszcze tak ciepło i występuje często wahania temperatury. Sądymy, że — podobnie jak w przyrodzie — w stosunkach tych nieuchronnie nastąpi lato”.

Istnieje nadzieja, że spotkanie we Władywostoku przyspieszy to lato.

A.L.

CO ROBIĆ Z AWANGARDA?

NAJBARDZIEJ awangardowy oddział polskich konsumentów, mający zamiar przejść skróconą drogą do spożycia okresu postindustrialnego, od dawna poszukiwał określonego produktu, który mógłby stać się symbolem tego wyrafinowania i rozpasania. Jak wiadomo, istnieją różne koncepcje co do tego, jak będzie wyglądać przyszłościowa konsumpcja. Jedni futurologi są zdania, że będzie to żywność w pigułkach, pełna automatyzacja, zdalne sterowanie i elektronika, drudzy natomiast przypuszczają, że dobrobyt wzrośnie do tego stopnia, że konsumować będziemy organiczną żywność, odziewać się w prawdziwy len i wełnę i każdego będzie stać na własnego wierzchowca.

W obu koncepcjach jednak przewiduje się, że jednym z charakterystycznych dla epoki postindustrialnej produktów, służących do zaspoko-

kajania potrzeb transportu indywidualnego, będzie zamiast samochodu — rower. Nic więc dziwnego, że nasi awangardiści postanowili uznać go za znak wywoławczy.

Możemy zresztą wyróżnić różne grupy konsumentów, zarówno ze względu na stosunek do roweru, jak i posiadany model. Dodajmy, że dzieje się tak dzięki niestępczemu inwencji twórczej ZZR w Bydgoszczy, które nie poprzestają na produkowanych do tej pory 100 odmianach i co roku raczą nas nowymi uruchomieniami, które do woli możemy sobie obejrzeć na targach TAKON. Z zakupieniem trudności są pewne (przejściowe) trudności, ale każdy, kto ma swojego człowieka w sklepie z rowerami, na pewno dostanie bez kłopotu to co jest „na magazynie”. Z tym co jest na taśmie produkcyjnej trochę gorzej, ale nie o tym będzie mowa.

Wracając do odmian i grup konsumentów, możemy wyróżnić, jak wszędzie zresztą, grupę umiarkowaną, która zakupiła rowery składane jako uzupełnienie do już posiadanych samochodów, a także grupę super-awangardową, która poszła na calość i postanowiła się postawić zwykłymi nie składanymi rowerami, jako środkiem dojazdu do pracy i powrotu do domu, lub po prostu tzw. relaksu.

Trudno już w tej chwili powiedzieć, który odłam zwycięży, jako że polityka cen wydaje się uprzywilejowywać superawangardzistów, i to zarówno jeżeli porównamy ceny rowerów składanych i tradycyjnych, jako też ze względu na ceny ropy naftowej i pojazdów dwukołowych.

Trzeba jednak zawiadomić potencjalnych i obecnych superawangardzistów, że ich widoki na bezpie-

czną jazdę w miastach i na drogach publicznych nie są najlepszymi. Wynika to prawdopodobnie z konsekwentnej, acz nie rzucającej się w oczy, działalności zwolenników motoryzacyjnego modelu konsumpcji. Nie można przecież wierzyć, aby nie-umiejętność uruchomienia w kraju produkcji powszechnie znanej tu i ówdzie chorągiewki, uskakującej bezpieczną odległość od rowerzysty, czy różnego rodzaju odślasków, była wynikiem zwykłego niedołęstwa naszych producentów. Nie takie bowiem produkty potrafilibyśmy rzucić na rynek, gdybyśmy nie chcieli robić konkurencji naszym znakomitym samochodom.

Podobnie wygląda sprawa ze ścieżkami rowerowymi. Niedawno „Perspektywy” zamieściły zdjęcie prawdziwej ścieżki rowerowej wiodącej przez tzw. tereny o wartościach krajobrazowych w mieście Puław. Nie dziwnego zresztą, że ścieżka powstała w tym mieście, skoro wiadomo, że osiągnięto tam i przekroczone nawet pewne wskaźniki typowe dla rejonów wysoko uprzemysłowionych. Zanim jednak w Warszawie i innych miastach osiągniemy ten poziom związków azotu w powietrzu, który charakteryzuje cywilizację industrialną, można by pomyśleć o tym, czy nie dążyć do zrobienia jakiegoś porządku z „superawangardzistami”, którzy nie chcą przejść do odłamu umiarkowanego i świadomie wy-

rażają się samochodem. Widzę tu kilka możliwości — można by np. sprzedać rowerów premiovanych losowaniem samochodów, można by administracyjnie ograniczyć sprzedaż rowerów dla osób samochodów nie posiadających, można by wreszcie wybudować ścieżki dla rowerzystów.

To ostatnie rozwiązanie, przynajmniej, że skrajnie, mogłoby jednak zagrozić realizacji planu sprzedaży samochodów, zmniejszyć zużycie gipsu w szpitalach i pogorszyć statystykę wykorzystania łóżek na oddziałach chirurgicznych, nie mówiąc o innych ubocznych ujemnych skutkach dla gospodarki, toteż nie proponuję, aby iść tu tzw. szerokim frontem. Dwukilometrowa ścieżka w Puławach zasadniczo na razie powinna wystarczyć na województwo warszawskie i lubelskie. Chodzą przecież do Puław autobusy i pociąg, którym można dowieźć rower na miejsce, przejechać się bezpiecznie i wrócić do domu.

Nie należy jednak zakładać, że problem umrze śmiercią naturalną i trzeba szukać różnych rozwiązań. Przypnijmy, że nie jest to sprawa łatwa. Można teoretycznie liczyć na to, że w związku z chłodem i deszczami rowerzyści znikną z szos i ulic, powrócą jednak z wiosną, i to w zwiększonej liczbie, bo krzywa produkcji przecież rośnie. Nie można też mieć nadziei, że wytepią się wzajemnie, ponieważ skutki zderzenia

się dwu rowerzystów nie są na ogół śmiertelne. Gdybyśmy założyli, że wytepią rowerzystów posiadacze samochodów osobowych, popełnilibyśmy błąd. Żaden rozsądny kierowca nie przejedzie celowo rowerzysty, mimo całego dołu obrzydzenia, z obawy, że zniszczy w ten sposób błotnik i zderzak, nie mówiąc o reflektorach, a każdy wie, jak trudno o części zamienne. Pozostają jedynie kierowcy ciężarówek i autobusów, ale oni ciężko pracują i nie mają czasu na pracę społeczną.

Jeżeli nawet zakażemy rowerzystom wjazd na ulice i szosy, podobnie jak to zrobiliśmy z Trasą Łazienkowską, to także trudno mówić o rozwiązaniu sprawy. A przecież trzeba się liczyć z taką ewentualnością, że niektórzy posiadacze samochodów, jak choćby niefortunni autor „Mariatu z Syrenką” (Z.G. 45), również łada dzień przesiadą się na rowery. Ponura futurologiczna wizja Marszałkowskiej doszczętnie zakorkowanej przez rowery już teraz spędza mi sen z powiek. Ja wiem, że apartheid jest reakcyjny, ale chyba nie ma innego wyjścia. Nie ma co liczyć na integrację. Trzeba pozwolić, przez zimę zastanowić się, czy nie warto byłoby pomyśleć o ewentualnej budowie dodatkowych kilometrów ścieżki rowerowej. Może trochę bliżej Warszawy?

Jerzy Jurowski

żywocik gospodarczy

● Oczyszczalnię ścieków w dzielnicy Płaszów w Krakowie budowaną ośmiem lat kosztem 110 mln zł. Miała już 10 miesięcy od daty planowanego zakończenia próbnego rozruchu a oczyszczalnia nie działa, zaś winnych nie ma, ponieważ projektanci zmienili pracę i słuch po nich zaginął. Postanowiono kupić w Szwecji pompy szlamowe, żeby uratować te 110 mln, ale na razie brak funduszy.

● W Krakowie wciąż czegoś nie ma w sklepach. Bywa, że parę dni

wy, kartofli, cebuli. Kiedy tylko czegoś czasem brakuje, to kiedy się to coś później pojawia w sprzedaży ludzie robią zapasy, więc znowu nie ma, bo planiści zaopatrzenia nie przewidzieli nadmiernych sprawunków. Wobec tego szefowie handlu są zdania, że racjonalne zaopatrzenie rynku nie jest w naszych warunkach możliwe, gdyż struktura sprawunków ma irracjonalny charakter. Tak to w handlu wystarczy trochę popracować robotę, żeby mieć dla niedołęstwa usprawiedliwienie już na zawsze.

● Wytwórnia Czystych Kultur Mleczarskich w Olsztynie wyprodukowała kulturę jogurtową, czyli proszek do robienia w domu tego napoju. Z załączonego rysunku urzędeń, które trzeba mieć i opisu produkcji wynika, że kto chce w domu wyrobić jogurt z czystej kultury w proszku, zajęcia temu swoje życie powinien poświęcić bez reszty. Ogrzać mleko do 45 st., wsypać proszek, wymieszać po 30 minutach, szklankę wstawić do specjalnej ciepłarni jogurtowej, otulić watą, potem do łaźni wodnej. Po 5 do 7 godzinach powstaje kwas, do niego trzeba dać mleko w proszku, grać do temperatury jakiejś, studiować innej, rozlać, na-

kryć, przetrzymać do spadku temperatury do 45 st., po 4 godzinach zacząć chłodzić i przechowywać 2-3 dni. Potem następuje opis sposobów eliminacji różnych wad jogurtu powstałych w toku produkcji. Proszku nie wolno dotykać palcami, bo to mu szkodzi. Oczywiście pedzenie bimbru jest o wiele prostsze, ale naciąg picia jogurtu silniejszy jest od alkoholizmu i stąd założenie, że ludzie nie będą szczenił trudów dla wyprodukowania czystej kultury według recepty Instytutu Przemysłu Mleczarskiego.

● Trapiące m. in. województwo rzeszowskie kłopoty wynikające z niedostatku magazynów przewożące są energicznie. GS w Kielnarowej zajął cały dom kultury na

MAGAZYN KULTURY

magazyn psaz i soli. W Husowie (pow. Łańcut) GS zajął na magazyn poczekalnię PKS-Wskazujemy, że w Łańcutcie jest duży, nie wykorzystany

ny jeszcze pałac, akurat dobry na nauwozy sztuczne albo naturalne.

● W osiedlu „Widok” w Krakowie, niedawno oddanym do użytku, kaloryfery usytuowano na środku ścian. Rury z ciepłą wodą, czyli tzw. pion ogrzewczy umieszczony jest normalnie pod oknem, ale ważniejszą rolę, żeby kaloryfery zdobyły, niż grały ukryte pod parapetem.

● Dzieci w „Literaturze” rozważają sytuację „życiowości” świata pisze: „... bystry politycy



zorientowali się, że broń sporządza się nie tylko ze stali. Można ją również upiec ze zwykłej żytniej mąki”.

W Polsce rozbrojenie czyni pewne postępy, szczególnie w sobotnie popołudnia, kiedy przeważnie chleba nie dowieźli.

● Pasażer zaskarżył do sądu Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Katowicach, ponieważ autobus nr 27 powinien według rozkładu jechać co 20 minut, a pasażer kilkakrotnie czekał nań aż godzinę. Pojechał takśwówką i żąda zwrotu za takśwówkę. WPK twierdzi, że rozkład jazdy ma orientacyjny i niezobowiązujący charakter. Sąd to rozumowanie odrzucił. Istnieją więc szanse, że wszyscy będziemy jeździć wyłącznie taksówkami na koszt przedsiębiorstwa komunikacyjnego.

● Trzy i pół tysiąca pracowników zatrudniających w Warszawie ambasady placówek gospodarczych mających siedzibę poza stolicą. W filii Zjednoczenia Gospodarki Rybnej ulokowanej w Warszawie pracuje m. in. pięciu sekretarzy dyrektora. Ośrodek Badań do spraw łożysk kulkowych z siedzibą w Kielcach ma w stolicy ambasadę liczącą 136 osób, a Ośrodek Obróbki Siernej — 182 osoby. 90-osobowa załoga filii Zjednoczenia Kopalń Rud i Surowców Chemicznych zajmuje się wyłącznie administrowaniem budynki zdeglod-

merowanego zjednoczenia, który jest teraz siedzibą tej filii. Inne ambasady zajmują się głównie załatwianiem w Warszawie formalności związanych z podrózkami zagranicznymi szefów swojej centrali oraz rezerwowaniem hoteli dla urzędników przybywających do stolicy służbowo. Likwidacja placówek zbędnych pozostawiały uzyskać, jak się szacuje, około 45 tys. metrów kwadratowych powierzchni biurowej. Nie jest to jednak łatwe, bo skoro Stany Zjednoczone np. mają w Warszawie ambasadę, to co dopiero Ośrodek badawczy łożysk z miasta Kielce.



na rynku

NIERYTMICZNE DOSTAWY

Niemal taki sam skutek jest nieotrzymanie w ogóle towaru — skargi się handlowcy — powodują opóźnienia dostaw z przemysłu artykułów rynkowych. Państwowa Inspekcja Handlowa postanowiła przeprowadzić w ostatnim dniu września (koniec III kwartału) kontrolę realizacji planu dostaw w 23 zakładach. Wyniki były niezbyt krępujące — przytoczmy kilka przykładów.

● ZPO „Sawa” zobowiązały się dostarczyć na rynek wewnętrzny 54485 sztuk odzieży i okryć dziecięcych. Do 30.IX dostarczono z tej firmy zaledwie 23 tysiące tych ubiorów, czyli ok. 42,2 proc. Nie wywiązano się

z dostaw płaszczyków, kurtek i spodniów. Co więcej, do dnia 11.X.br. dostarczono tylko dalszych 13.263 ubiorów; firma prosiła o przesunięcie zaległej „końcówki” do realizacji w IV kwartale. Powód: przyjęcie eks-trazamów eksportowych na 14 tys. sztuk.

● ZPDZ „Femina” podpisały z handlem aż 71 umów na dostawę artykułów rynkowych o wartości ok. 43,5 mln zł. Do końca III kwartału wywiązały się w 86,2 proc. z przyjętych zobowiązań. Nie dostarczyła „Femina” m. in. ponad 51 tys. hałek damskich.

● Słynna łódzka „Olimpia” z Łodzi zawiązała 109 umów na dostawę ponad 353 tys. wierzchnich wyrobów

dziewiarskich. Z podjętych zobowiązań wywiązała się w 72,2 procentach.

● „Elasticana” z Łodzi produkuje pasy, biustonosze, rekawiczki, figi, reformy i spodnie. Do 30.IX wywiązała się z umów tylko w 77,2 procentach. Dyrekcja tej firmy tłumaczyła się, że nie dostała podstawowych surowców (przedz poliuretanowej z importu, przedz krajowej, koronek z „Feminy” itd.) w dostarczonych ilościach.

Podobnie tłumaczono się w innych zakładach. Tymczasem wyrywkowa kontrola prawidłowości zawierania umów w tych 23 przedsiębiorstwach wykazała, że w umowach przewidywano wszystkie możliwe dane, określające w pełni asortymenty, wym-

bole, rozmiary i kolory wyrobów w oparciu na „pewnych” dostawach surowców.

Cóż tu komentować?

NOWE HALOGENY

Kombinat Techniki Świetlnej „Polam” wyprodukował w ub. roku 20 tysięcy samochodowych żarówek halogenowych H-3. Nadają się one na światła krótkie (12 V, 55 W). W br. wyprodukuje ich 200 tysięcy. Program na 1975 rok — 700 tysięcy.

Ale technika musi iść naprzód — mówi mi dyr. handlowy „Polamu”, mgr Stefan Brzozowicz — i zaplecze nasze opracowało nową żarówkę halogenową H-4. Będzie to żarówka dwuświatłowa (na długie i krótkie

światła), o strumieniu świetlnym silniejszym o około 50 proc. w stosunku do tradycyjnej żarówki asymetrycznej. Jej moc 55/65 W. Jest lepiej widoczna we mgle i lepiej oświetla szosę. Zasięg światła większy o ok. 30 proc., a mimo tego nie będzie oślepiat jadących z naprzeciwka. W przyszłym roku rozpoczniemy produkcję serii sygnałnej. W związku z podjęciem produkcji H-4 cenę na żarówkę H-3 zamierzamy obniżyć ze 150 zł do ok. 100 zł.

Przy okazji ciekawostka dla kolegów fotoreporterów i fotografów-amatorów. „Polam” podjął się produkcji lampy reporterskiej z żarówką projekcyjną halogenową (220 V, moc — 1000 W, cena 500 zł). Na razie

jeszcze nie ma ich w sprzedaży, ale do końca br. „Polam” wyprodukuje około tysiąca, a w 1975 roku — ok. 8 tysięcy.

PYSZNA KONSERWA

Chwalimy wyrób mało znanego producenta — przedsiębiorstwa w Milejowie koło Lublina wchodzącego w skład Lubelskich Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego. Chwalimy za bardzo dobrą smako-wo „konserwę żurawinowo-jabłkową do mięsa”.

Słoiczek 450-gramowy w cenie 16 złotych. Poleciłbyśmy ją wszystkim, gdyby nie fakt, że „w ciągu kilku dni zniknęła z półek warszawskich sklepów. To mówi samo za siebie.

giełda samochodowa

Niedzielną giełdą upłynęła pod znakiem małej ilości „Wartburgów” (i wysokiej ich ceny), dużej ilości „Skod”, których ceny ustabilizowały się dla nowych wozów na poziomie ceny „Fiatów 125 p” oraz licznych wozów typu „ruina” do nabycia już od sumy 13 tys. (cena wywoławcza) poczynając. Wniosek ogólniejszej natury, który nasuwa się po zapoznaniu z większą ilością giełdowych ofert jest taki, że samochody nie tanieją chociaż to koniec sezonu, paliwo nie jest tanie a koszty napraw i przeglądów (również gwarancyjnych) rosną, jako że usług motoryzacyjnych nie staje i panowie mechanicy, elektrycy i ich przełożeni wyprawiają prawdziwą „ręź niewiastek” na klientach. Tym ostatnim zaś pozostaje tylko płacić i udawać, że są wdzięczni. Z to ich się obdziera ze skóry. Z tych właśnie względów różnego rodzaju sportowe

„Fiaty” i „Fordy”, przedmiot niegdyś westchnień, są do nabycia za 50 tys. taniej niż nowy „Wartburg” — i amatorów nie widać. Nie ma się zresztą czemu dziwić, skoro za „skombinowanie” najprostszej części trzeba oddać pół średniej pensji.

A oto co proponowali właściciele wozów:

„Fiat 125p” z silnikiem 1500 cm w wersji fińskiej po przebiegu 48 tys. km za około, jak informował sprzedający, 119 tys. zł. Nowy „Fiat 125p” o tej samej pojemności cylindrów ceniono za 185 tys. zł.

Trzymiesięczna „Syrena 105” była do nabycia za 80 tys. zł. Wyprodukowane w 1973 roku „Syreny” były oferowane w granicach 73 tys. zł.

Jedyny „Fiat 126p”, przynajmniej do godziny 12.00, miał cenę wywoławczą 98 tys. zł.

Tegoroczny „Wartburg 353” de Luxe kosztował 180 tys. zł, a egzemplarz z ub. roku, po 14 tys. km, wyceniony był na 163 tys. zł.

„Skoda S-110” de Luxe z 1974 roku była również oferowana za 163 tys. zł. Egzemplarze o rok „młodsze” typu S-100, miały ceny wywoławcze 140 lub 145 tys. zł.

„Fiat 127p” z 1973 roku, po 16 tys. km, kosztował tyle co ubiegłoroczna Skoda S-100 to znaczy 145 tys. zł.

„Trabant 601” z 1971 roku znalazł kupca za 70 tys. zł. Ten samochód z 1972 roku był tylko o tysiąc złotych tańszy. Nowych wozów nie widziałem.

„Volkswagen 1200” z 1982 roku, 5 tys. km przebiegu po remoncie silnika i blacharki, miał cenę wywo-

ławczą 72 tys. zł. VW-1300, po 70 tys. km, oferowany był za 120 tys. zł, a egzemplarz z 1972 roku i po przebiegu 37 tys. za 170 tys. zł.

Najtańszą „Warszawę” można było nabyć za 13 tys. zł. — Do czego to doszło — zauważył jakiś kibic. „Warszawa-combi”, w bardzo dobrym stanie, posiadająca bagażnik, „wóz z ubiegłego roku”, jak zapewniali właściciele, została sprzedana za 120 tys. zł.

„SEAT-850” z 1973 roku, po przebiegu 20 tys. km proponowany był za 128 tys. zł.

„Peugeot 504” z 1969 roku był do nabycia za 200 tys. zł.

„Mercedes Benz 200” z 1970 roku miał cenę wywoławczą 280 tys. zł.



„Niegdyś przedmiot marzeń, dziś taniej niż „Wartburg”

Fot. S. ZUBCZEWSKI

ŻYCIE GOSPODARCZE

REDAKUCJE ZESPÓŁ: Stanisław Chelstowski (zastępca redaktora nacz.), Zofia Długosz, Władysław Dudziński (zastępca redaktora nacz.), Jerzy Dzięciołowski, Jan Głowczyński (redaktor nacz.), Anna Kuszo, Zbigniew Mikołajczyk (zastępca redaktora nacz.), Marian Sikora, Jerzy Surdykowski, Karol Szwarc (sekretarz redakcji), Wiesław Szyndler, Zbigniew Wyczesany. ZESPÓŁ KONSULTACYJNY: Mirosław Dynner, Mieczysław Kabał, Marian Krzak, Mieczysław Mieszczykowski, Zbigniew Madej, Marek Misiak, Zofia Morecka, Marian Ostrowski, Józef Pajestka, Grzegorz Piskarski, Antoni Rajkiewicz, Wiesław Rydygier, Władysław Sadowski, Jan Werner, Barbara Wiśniewska. Wydawca: RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” w Wydawnictwo „Współczesne”, 00-480 Warszawa, ul. Wiejska 12, telefon 28-24-11.

ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Boża 35 (skrytka pocztowa nr 1 — 00-680 — Warszawa). Telefony: redaktor naczelny 28-06-28, zastępca redaktora naczelnego 21-55-57, sekretarz redakcji 28-06-28. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJE Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa — Książka — Ruch” w Wydawnictwo „Współczesne”, 00-480 Warszawa, ul. Wiejska 12, telefon 28-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa — Książka — Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WARUNKI PRENUMERATY: cena prenumeraty krajowej rocznie 208 zł, półroczna 104 zł. kwartalna 52 zł. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miastach wojewódzkich i powiatowych zamawiają i opłacają prenumeratę wyłącznie w miejscowych Oddziałach i Delegaturach RSW „Prasa — Książka — Ruch” w terminie do 25 listopada na rok następny. Instytucje i zakłady pracy z siedzibą w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziału i Delegatury RSW „Prasa — Książka — Ruch”, jak również prenumeratę indywidualną opłacają prenumeratę tylko we właściwych dla doręczycieli lub w doręczycieli — w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest droższa o 40 proc. od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Biuro Kolportażu Wydawnictwa Zagranicznych w Warszawie, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100024.

Sprzedawca egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa — Książka — Ruch”, 00-680 Warszawa, ul. Towarowa 28.

Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” — 00-624 Warszawa, Marszałkowska 3/5 Numer indeksu 38505.

Zam. 4223 W-42